

Dziś w numerze: **Łódzka bieda z łózkami** **Medycy w terenie**
Lager w Konstantynowie **W ślepej ulicy** **Wiersze**
Recenzje **Felietony** **Polonica**

odgłosy



Nr 32 (446)
13. VIII 1967 r.
16 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Bałucki Rynek

I nie będzie więcej tego miejsca, dla jednych jako wrzód dzielnicy, inni mówią, że to perła; czarna, ale zawsze... Więc póki jeszcze kręci się młyn i w drętwa od chłodu noc ściga gają chłopskie furmanki, badylarskie wozy zawałone warzywami, drzemią konie z łbami w obrokach, człowiek w grubym waciaku przycupnął na ziemi, dym pociąga z rękawa i do walki się stroi, przebiegłość z niepokojem kryjąc w oczach — ech, zobacz tę noc póki czas i legenda Bałut jeszcze żywa...

1.

Gasną światła w czynszowych kamienicach. W małej uliczce zamiera pijany śmiech. Chwiejne cienie tłuką się o mury szukając drogi do domu. Gdzieś z radia nadają szlagiery, zwirowana trabka błąka się przez noc. Akurat teraz, kiedy miasto idzie spać, na Bałuckim Rynku rozpoczyna się pierwsza runda. Nie ma: wybrać. Nie ma: przebrać. Są hurtownicy i półhurtownicy. Hurtownik — to badylarz, co przywiózł towar ciagnikiem albo samochodem, i za godzinę, leższy o parę ton, cięższy o parę tysięcy, wróci na domowe leże. Hurtownik, to może być chłop, ale rzadko, bo chłop jest cierpliwy, woli poczekać na świt i sprzedawać samemu, powoli, ale za to z większym zyskiem. Półhurtownik, to ten gość za straganem sprzedający w dzień warzywa i owoce. Ale zanim sprzeda, musi kupić, więc właśnie o pierwszej w nocy zaczyna się pierwsza runda. Badylarze przeciw straganiarzom. Znała się wszyscy, jak te konie. Przechery, wytrawne cwaniaki. Słów kilka rzuconych szeptem. Już wiadomo, czego się trzymać. Ogórki beda dziś u badylarzy po złotówce kilo. Pomidory po trzydzieści. Jabłka po cztery pięćdziesiąt. Straganiarze muszą zniżać ceny. Słów kilka rzuconych szeptem. Pomidory po dziesięć. Jabłka po cztery. Jak nie — to bojkot, niech się udławia, niech zginią razem z towarami. Wreszcie jakiś kulawy kompromis: po pół kroku do siebie zrobili. Józek — pierwszy machnął ręką, wziął dwa metry ziemniaków, inni za nim, zachęceni przykładem, kalafior, buraki, kapusta, ten sełkę, tamten dwieście kilo, ceny jeszcze się trzymają, jeszcze badylarze wobec siebie solidarni, aż tu spryciarz Gadziocha, potentat spod Łeczycy, robi wyłom w badylarskim frontie, wabi straganiarza tajnym gestem, cenie po cichu opuszcza, jak dla ciebie — mówi — kalafior po dwieście od główki; Pietrzak — badylarz w porę szwindel zwał, spojrzal na platformę swojej ciężarówki, zawalanej po brzegi, zobaczyl, że do Gadziochy rzudek się ustawia, więc zaczął szybko w myślach rachować, jak matematyk jaki czy ekonomista i wrzasnął nagle:

— U mnie kalafior po półtora stoja!

I już pusto pod wozem Gadziochy. I nie ma już zgody w badylarskim świecie. Tasują się ceny, rośnie krzyk. Pieniądz krąży od reki do reki. Bogdanski spod Kutna okradkiem na traktorze stoi i zmiata na ziemie stopy zielonej pietruszki, pekaty wory pomidorów, ciężkie głowy kapusty spadają na bruk. Z wozu Leleja posypały się kartofle, tanio, taniutko, o wiele taniej niż kupił Józek — więc on stoi rozwścieczony nad swoją dwustukilową stertą, wyrwa włosy z głowy i klnie wymyślnie długimi soczystymi frazami; a mówilem: poczekaj — żona z boku mu dogryza — mówilam: nie spiesz się, ty wszarzu cholerny, ty łamagol. Wyłacz mowę — syknął Józek tłamsząc babę ciężką ręką, podskoczy do Gadziochy, któremu z ogórkami nie szło, za duży zabrał, za długo trzymał się ceny, i teraz, kiedy inni badylarze odjeżdżają do domu, wyprzedani do ostatniej torby czosnku, on musi pokutować na środku placu, bo nasycony



ANDRZEJ NADOLSKI

Na świecińskim polu

Sypki, żółtawy piach szuści pod żelazem ogrodniczych łopatek. Po białej ścianie kościoła snują się słoneczne migotania, przenikające do wnętrza przez smukłe ostrołuki okien. Nad prostokątnym otworem w posadzce wieniec nachylonych, ciekawych głów.

Próżna robota! — pada wreszcie decyzja — nie się tu już nie znajdzie. Podnoszą się zawiedzeni. Na co młodszych twarzach — wyraźne rozczarowanie. Nie udało się. Fritz von Ravenek tym razem wymknął się Polakom.

Był rycerzem z dalekiej Austrii, kondotierem w służbie krzyżackiej, w ciężkich dla „Pruskich Panów” czasach Trzynastoletniej Wojny. Latem roku 1462 jako starosta pucki, stargardzki i gniewski stał na czele znacznej części sił zbrojnych Zakonu. Nie były to już wielkie siły. Wojna trwała od 9 lat i skarbcze krzyżackie dawno świeciły pustkami. Minęły bezpowrotnie czasy bitwy Chojnickiej, do której Zakon wystawił paręnatotysieczną armię zacięzną. Zawodowy żołnierz służący za pieniądze był sprawniejszy, lepiej zbrojony, bardziej zdol-

ny do długotrwałych działań wojennych, niż rycerskie pospolite ruszenie, ale — kosztował drogo! Niełatwy, gotów był do łupienia kraju, do buntu, nawet do przejścia na stronę nieprzyjaciela.

Korona polska miewała zresztą podobne kłopoty. Pospolite ruszenie wslawione na polach Grunwaldu, w drugiej połowie XV wieku okazało się już przeżytkiem. Pobite pod Chojnicami przez mniej licznego, ale znacznie sprawniejszego wroga, skompromitowane pod murami Lasina (kilkuset żołnierzy Zakonu wytrzymało tam oblężenie kilkudziesięciu tysięcy Polaków), okazało się niezdolne do rozstrzygnięcia tej przewlekłej wojny. Trzeba było i po naszej stronie utworzyć wojsko zaciężne, co wymagało uruchomienia stałych i to poważnych środków finansowych. Polska wbrew wszelkim pozorom nie miała ich w nadmiarze. Biezące dochody skarbu koronnego mocno nadwierały zbyt szczodra reka Jagiellonów. Uchwalenie nadzwyczajnych podatków napotykało jak zwykle na liczne opory. Właściwie dopiero w 1462 roku zdołaliśmy się na wystawienie trochę silniejszej armii zaciężnej; jej dowództwo objął zdolny wódz Piotr Dunin z Prawkowie.

Jak rekrutowano wojsko zaciężne? Oto król zwracał się do doświadczonych, god-

nego zaufania rycerza i zlecał mu zwerbowanie oddziału jazdy lub piechoty o określonej liczebności. Organizator (a czasem jeden z organizatorów) zostawał rotmistrzem, czyli dowódcą sformowanej rotty. Do kumant królewski upoważniający rotmistrza do werbunku nosił nazwę „listu przy powiedniem”. Czytelnicy Sienkiewicza przypomną sobie bez trudu jak to pan Wołodyjowski wydobyl z opresji Kmiciecia doręczając mu taki właśnie list przypowiadający wystawiony w imieniu królewskim przez hetmana.

Sformowana rota stawała do przeglądu czyli „popisu”, na którym zwierzchność wojskowa mogła ocenić czy liczebność oddziału jego uzbrojenie, sprawność i jakość koni odpowiada wymaganiom i warta jest umówionej zapłaty. Rezultat przeglądu utrwalano w dokumencie zwanym krótko „popisem”. Najstarszy zachowany „popis” (do przeglądu stanęła rota ciężkiej jazdy rotmistrza Andrzeja Rokossowickiego) sporządzono w roku 1471. I on i wszystkie późniejsze są istną skarbnicą polskiej terminologii i wojskowej. Szczególnie opisy koni zdumiewają barwnością i różnorodnością określeń. W „popisie” rotty pana Rokossowickiego czytamy więc: „Koni wilczasty, kopijnicy, wyżsiedni, ...kon z rydza plesniawy, wyżsiedni, kon z wrona wilczasty, strzelczy...” i tak dalej aż do 95, bo tyle koni było w całej rocie. Opisano je tak starannie z bardzo przyjemnych przyczyn. Chodziło po prostu o to, aby „łowarzysze” (czyli rycerz służący w zacię-

Dalszy ciąg na str. 4

Dalszy ciąg na str. 5



— Prestiż Johnsona znalazł się na równi pochyłej, której końca nie widać — pisze prasa amerykańska, komentując wyniki kolejnej ankiety. W ankiecie tej bowiem ponad 52 proc. zapytanych odniosło się krytycznie do sytuacji jaka powstała w Wietnamie. PO RAZ PIERWSZY 49 proc. Amerykanów opowiedziało się przeciwko jakiegokolwiek zwiększeniu efektywności wojskowych na Półwyspie Indochińskim i PO RAZ PIERWSZY 41 proc. udzielających odpowiedzi uznało, że Waszyngton popełnił błąd na samym początku, wprowadzając armię do Wietnamu. Nie są to — przyznają komentatorzy — pomyślnie horoskopy dla prezydenta na 16 miesięcy przed wyborami.

Czemu przypisać tak duże wahnięcia amerykańskiej opinii publicznej?

Przed wszystkim niepowodzeniami militarnymi, w ślad za którymi idzie także zakwestionowanie politycznego przywództwa Stanów Zjednoczonych w świecie zachodnim. Stale zasilanie walczących wojsk nowymi kontyngentami (ostatnio Johnson zapowiedział dalsze zwiększenie liczebności o co najmniej 45 tys.) nie prowadzi do poprawy sytuacji militarnej. Plan „pacyfikacji” osiedli w Wietnamie Północnym, udało się zrealizować zaledwie w 23 proc., nie sprawdziły się nadzieje na sparaliżowanie ruchów partyzantów, porażką zakończyła się ofensywa piechoty morskiej w delcie Mekongu, kompletnie załamała się doktryna wymuszenia warunków kapitulacji (przez przekroczenie granicy wytrzymałości) na drodze stałego nękania atakami lotniczymi Demokratycznej Republiki Wietnamu.

Równocześnie w zawrotnym tempie rośnie bilans strat w ludziach i sprzęcie. W pierwszej połowie bieżącego roku liczba zabitych i rannych żołnierzy i oficerów amerykańskich była o połowę większa niż w całym roku poprzednim i tendencja ta utrzymuje się nadal.

W tych warunkach „idea wystania znacznej ilości dodatkowych wojsk do Wietnamu — pisze „Daily Telegraph” — napotyka na opór w Stanach Zjednoczonych, krajach azjatyckich oraz Australii i Nowej Zelandii”.

Jednak nie tylko porażki na polu bitwy „otwierają oczy” Amerykanom. Również utrata przez Stany Zjednoczone moralnego autorytetu w większości krajów świata oraz takich liczących się w opinii światowej ośrodkach, jak np. ONZ, Watykan, czy inne. Jest to zatem postępująca izolacja polityczna, którą zaważa coraz większa część społeczeństwa amerykańskiego.

Coraz więcej Amerykanów zadaje sobie także pytanie: kogo popieramy? — i nie bez racji dochodzi do wniosku, że siły, które w ostatecznym rachunku muszą przegrać.

Jest na przykład znamienne, że w związku z zapowiedzianymi na 3 września wyborami prezydenckimi w Wietnamie południowym wiele dzienników amerykańskich ujawnia swój negatywny stosunek do sajskiego reżimu i przyznaje, iż społeczeństwo południowowietnamskie tylekroć oszukiwane przez reżimowych polityków nie zdradza nimi zainteresowania. Jak bowiem stwierdza „New York Times” — junta wojskowa chce je przekształcić w grę, opartą na zasadzie: „jeśli orzeł — ja wygrywam, jeśli reszka — ty przegrywasz”.

Z tych to głównie powodów nasila się krytyka wietnamskiej polityki Waszyngtonu, przybierająca z każdym dniem bardziej otwarte formy.

Dzisiaj jeszcze — na co wskazuje jego wystąpienie sprzed kilku dni — nie przeszkadza ona Johnsonowi nadal orientować się na rozstrzygnięcia militarne, ale co będzie jutro? Co powie rosnącej liczbie niezadowolonych wyborców? Tym bardziej, że w społeczeństwie amerykańskim wystąpiły bardzo poważne komplikacje na tle rasowym, o czym pisałem w poprzednim tygodniu...

Ważnym wydarzeniem minionego tygodnia, obserwowanym z nie mniejszą uwagą niż rozwój sytuacji wewnątrz Stanów Zjednoczonych, była konferencja 13 ministrów spraw zagranicznych krajów arabskich w Chartumie. Już samo jej dojeżdżenie do skutku w pełnym składzie zasługuje na podkreślenie, a tym bardziej powzięte decyzje.

Arabscy ministrowie postanowili bowiem, po uważnej analizie obecnej sytuacji, zjednoczyć wysiłki w celu „likwidowania skutków agresji imperialistycznej i syjonistycznej na ziemi arabskiej”. Wspólnie opracowali zalecenia, które mają umożliwić przyjęcie decyzji militarnych, politycznych i gospodarczych. Zalecenia te mają być przedłożone konferencji na szczycie. Tę poprzedzą jeszcze: spotkanie w Bagdadzie ministrów gospodarki i finansów, którego termin wyznaczono na 15 sierpnia oraz, ponowne spotkanie ministrów spraw zagranicznych w Chartumie w dniu 26 sierpnia.

Opublikowany komunikat stwierdza wyraźnie, że celem tego ostatniego będzie ostateczne przygotowanie porządku dziennego spotkania szefów państw arabskich.

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że między krajami arabskimi istniały duże różnice polityczne. Agresja Izraela zniwelowała je, ale imperialistyczne kółła ciągle miały nadzieję, że rozdzielenie szybko znów odzyska i uniemożliwi światu arabskiemu jednolite postępowanie. Nie muszą oczywiście dawać, jak bardzo byłoby to na rękę agresorom. Znaczenie decyzji konferencji sudańskiej polega więc przede wszystkim na tym, że pozbawiła podstaw wszelkie rachuby na wygrywanie tych różnic.

W. ŚLAWSKI

Tkronika Tygodnia

■ Grupa senatorów amerykańskich wypowiedziała się za przerwaniem bombardowań Wietnamskiej Republiki Demokratycznej. Zdaniem senatorów bombardowania nie spełniły pokładanych w nich nadziei. „Wiecej tam teraz (w Wietnamie Południowym) ludzi i więcej materiałów wojennych”, „dalsi jesteśmy obecnie od stołu rokowań, niż kiedykolwiek przedtem” — powiedział senator Mansfield.

■ Komunistyczna Partia Czechosłowacji liczy obecnie

kańskiemu senatowi roli w decydowaniu o sprawach polityki zagranicznej.

■ Agencja Sinhua podaje, że rewolucyjni z Instytutu Medycznego w Szantungu występują przeciwko pewnym hasłom, popierającym tezy dawnych autorytetów naukowych, takim, jak np. „Marksizm-Leninizm nie jest w stanie uleczyć chorób” lub „Polityka nie może zastąpić pracy”. Agencja stwierdza, że rewolucyjni studenci i nauczyciele podjęli tę akcję w



— Nie widzę niczego złego w niszczeniu ludzi napalmem. Świat staje się tylko lepszy.

1.689.200 członków. Ludność CSRS liczy 14.275.500 mieszkańców.

■ 50 byłych delegatów na zjazd nominacyjne partii demokratycznej wystosowało list do prezydenta Johnsona, stwierdzając, że Johnson naj lepiej przysłużyłby się partii, gdyby nie wystawiał w przyszłym roku swej kandydatury w wyborach na prezydenta.

■ Amerykański senator z ramienia partii demokratycznej John Pastore oświadczył, że chiński postęp nuklearny jest „prerażający” i że w ciągu najbliższych pięciu lat Chiny będą „straszną potęgą atomową”. Amerykański fi-

celu „rewolucjonizowania systemu kształcenia medycznego w Chinach”.

■ Kairski „Al-Ahram” wyraża trzy cele amerykańskiej polityki na Bliskim Wschodzie:

— zniszczenie rewolucyjnych rządów arabskich, poczynając od rządu egipskiego;

— likwidacja nacjonalizmu arabskiego i wykorzystanie różnic istniejących pomiędzy państwami arabskimi;

— poróżnienie Związku Radzieckiego z jego arabskimi przyjaciółmi. W konkluzji autor artykułu, Heykal, stwierdza, że kraje arabskie winny w aktualnej sytuacji zastosować taktykę podobną do taktyki terrora walczącego na arenie z bykiem.

■ Według opinii zachodnioberlińskiego pisma „Telegraf”, liczba turystów przybywających w ostatnich latach do krajów Europy wschodniej poważnie wzrosła, z 3,7 mln. w 1960 roku do 13 mln. w 1966. Najważniejszymi były Czechosłowacja i Jugosławia. W roku 1965 przypadało na te dwa kraje około 50% łącznego wschodniego europejskiego ruchu turystów zachodnich.

■ Reuter: Przewodniczący Kp Chin — Mao Tse-tung ożeniał się, że mniej więcej za rok, po 11 latach przerwy, odbędzie się krajowy zjazd partii.

■ Zachodniemiecki deputowany do Bundestagu z ramienia CDU — Marx — stwierdził, iż w handlu NRF z krajami socjalistycznymi, jeśli chodzi o eksport, pierwsze miejsce zajmuje Rumunia.

■ AFP: Wietnam, niepokojące rasowe, rozbieżności opinii w łonie własnej partii — oto elementy powodujące spadek popularności prezydenta Johnsona, który przechodzi obecnie przez jeden z najbardziej krytycznych okresów od czasu, kiedy przejął stanowisko prezydenta.

■ W pierwszym półroczu 1967 roku około 800 tys. Jugosłowian wyjechało za granicę w celach turystycznych. Każdemu posiadaczowi paszportu bank wypłacał po 32 dolary.

■ W ciągu ostatniego roku obywateli amerykańscy na-

Ludzie wierzą w nieprawdopodobne historie wtedy, kiedy podawane są one szeptem.

PAUL RENAULT — polityk.

byli prywatnie ponad 650 tys. pistoletów, 446 tys. karabinów, 4 tys. pistoletów maszynowych, ponad 2 tys. helmów oraz kilkaset ton amunicji.

■ Parlamentarzysta francuski, dr William Jacson, który w lipcu przebywał w Kairze, stwierdził, iż „prezydent Nasser oświadczył, że wierzy, iż dyplomatyczne rozwiązanie problemu arabsko-izraelskiego jest możliwe”.

■ „Hindustan Times” donosi, że po pięciu latach długofalowej reorganizacji produkcja przemysłowa w Chinach wzrosła w 1966 roku o przeszło 20% w porównaniu z rokiem poprzednim. Produkcja stała się podnosić się z poziomu 14,5 mln. ton do 17,5 mln. ton w 1965 r., wydobycie ropy naftowej — z 9 mln. ton do 11 milionów.

■ W siedzibie ONZ w Nowym Jorku mówi się, że grupa przedstawicieli państw arabskich nosi się z zamiarem formalnego wystąpienia z inicjatywą przeniesienia siedziby ONZ. Przebieg sesji nadzwyczajnej, argumentuje się, „wykazał, iż dalsze pozostawianie siedziby ONZ w Nowym Jorku jest szkodliwe dla interesów krajów neutralnych”.

■ Czechosłowackie pismo „Nova Mysl” w komentarzu poświęconym ostatniemu zjazdowi pisarzy pisze: Przebieg IV Zjazdu Pisarzy Czechosłowackich dowiódł, że w Związku Pisarzy istnieją bardzo niebezpieczne tendencje. Jako przykład tych tendencji pismo przytacza zjawiska lekceważenia literatury o socjalistycznej orientacji w dziedzi-

go jeszcze nie widać, amerykańskie kółła wojskowe przygotowują się do nowych awantur wojennych. Kółła te zakładają, że konflikty wybuchną będą najprawdopodobniej na południowej półkuli i że Stany Zjednoczone będą w nich brały udział.

■ Rada Ministrów Socjalistycznej Republiki Rumunii podjęła uchwałę, zgodnie z którą, obywatele dysponujący odpowiednimi środkami mogą budować w miejscowościach kuracyjnych i klimatycznych prywatne domy wypoczynkowe. Państwo będzie pomagało w takich wypadkach, przyznając reflektantom odpowiednie działy pod zabudowę na zasadach wieczystej dzierżawy.

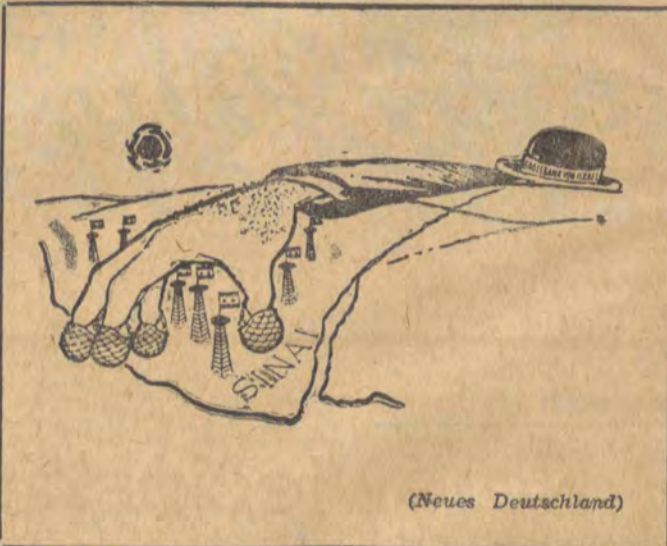
■ Japońskie źródła donoszą z Pekinu o trwającej tam masowej czystce w szeregach Chińskiej Armii Wyzwoleniowej. Czystka miała objąć 1/3 ogólnej liczby komisarzy politycznych armii. Zarzuca się im, że byli powiązani z krytykowanym i pozostającym obecnie na uboczu sekretarzem generalnym KC KPCh — Teng Hsiao-pingiem. Zdaniem korespondentów japońskich, w ślad za tymi zmianami personalnymi na wyższych szczeblach należy oczekiwać dalszych zmian we wszystkich jednostkach wojskowych.

■ Wychodzące w Zagrzebiu pismo „Vjesnik” pisze, że Izrael martwi się, iż „polityczne umacnianie” jego zwycięstw „nie układa się

Miedzy brylantem a dyplomata jest taka różnica, że brylant się szlifuje, aby był przezroczysty, z dyplomata natomiast rzecz ma się zgoła odwrotnie.

ALPHANT — dyplomata.

tak, jakby on chciał”. Pismo nie wyklucza możliwości, że Izrael może zaprezentować światu „inną niespodziankę i kłopot”, tj. produkcję bomb atomowych. „Vjesnik” uwa-



(Neues Deutschland)

nie estetyki, w dziedzinie ideologii natomiast zjawiska występują z pozycji niemarksisowskich, domagania się swobody dla antykomunistycznych poglądów, a także ataki na wewnętrzną i międzynarodową politykę partii, na kierownictwo partii w społeczeństwie.

■ UPI donosi, że floty amerykańskie na Atlantyku i Morzu Śródziemnym nie są już w stanie przeprowadzać zakrojonych na większą skalę operacji bojowych, ponieważ tak wielu pilotów z tych flot wysłano do Wietnamu. Ujawniono, że marynarce wojennej USA brak jest obecnie 2.430 pilotów wojskowych.

■ „Washington Evening Star” stwierdza, iż mimo że końca konfliktu wietnamskie-

ża za rzecz pewną, że Izrael dysponuje już niezbędnymi środkami do produkcji bomb atomowych, lecz zaznacza, że nie wie, czy rząd wydał polecenie rozpoczęcia produkcji.

■ Trzy obiady — trzy miliony dolarów. Takie dochody osiągnięto w czasie specjalnych obiedów wydanych w czerwcu przez kierownictwo partii demokratycznej, z udziałem prezydenta Johnsona. Cena karty wstępu na przyjęcie wahała się od 100 — 1.000 dolarów. Imprezy tego typu organizowane są w celu powiększenia funduszy demokratów na kampanię wyborczą w 1968 roku.

ŁÓDZKA BIEDA Z ŁÓŻKAMI

„Polonia” — 216 łóżek. „Savoy” — 254, „Mały” — 34. I jeszcze hotel „Grand” na 334 łóżka. Oto czym dysponuje 740-tysięczna Łódź w stosunku do turystów krajowych i zagranicznych, do gości odwiedzających nasze miasto.

W hotelach miejskich można jeszcze od biedy uzyskać 80 miejsc dodatkowych, wstawiając do „numerów” kozetki, fotele-łóżka i inne urządzenia, bynajmniej nieprzewidziane przez Morieusza, ale to w sumie mało. Potrzeby w okresach szczególnego nasilenia ruchu hotelowego zmusiły do zagospodarowania hali w łódzkiej Hali Sportowej, dzięki czemu zdobyto dalszych 200 miejsc mniej wybrednych przyjezdnych posyła się do Domu Turystycznego PTTK, wycieczki szkolne — do schroniska przy ulicy Kilińskiego nauczycieli — do pokoi-kół gościnnych w Klubie Nauczyciela przy ul. Piotrkowskiej.

Ale miejsc reprezentacyjnych mamy w Łodzi tylko 160 — są to pokoje i apartamenty z łazienkami urządzone według przyjętego w świecie standardu — i wszystkie w „Grandzie”. Za tym standardem zaskakująco ostatnio jednak i hotele miejskie. W hotelu „Savoy” wprowadza się pospiesznie 65 łazienek, oprócz tego tworzy 5 apartamentów (lokale 2-pokojowe z łazienkami), te same roboty czekają w przyszłym roku „Polonię” (65 łazienek i 4 apartamenty).

1.

Wszystkie hotele łódzkie zostały zbudowane w okresie największej prosperity przemysłowej, a więc bezpośrednio przed pierwszą wojną światową. Jest to i duże zwycięstwo i klęska. Zwycięstwo, bo inaczej nie mielibyśmy pewnie w ogóle hoteli, klęska — bo teraz przy każdym remoncie ujawniają się braki budowlanego niedostatku. Wszystkie hotele mają drewniane stropy, więc co rusz zachodzi potrzeba ich przebudowy, nie mówiąc już o przystosowaniu budynków do działania nowoczesnego systemu ogrzewania i innych koniecznych przebudów. Ale przecież i tak nie jakości usług hotelowych stanowi pięcie achillesowe miasta, a ich ilość. Według norm, na tysiąc mieszkańców powinniśmy mieć 5 łóżek hotelowych, a mamy zaledwie... jedno (Warszawa — 3,4 łóżka, Kraków — 3,1, Poznań — 2,9). Instytucja kwater prywatnych, tak wspaniale rozwijająca się na przykład w mieście targów międzynarodowych, w Poznaniu —

u nas jakoś nie chwyta. Biuro zakwaterowań dysponuje w Łodzi zaledwie 173 miejscami w kwaterach prywatnych (w ub. roku około 100), chociaż w związku z dużym przyrostem nowoczesnych lokali w nowym budownictwie potencjalne możliwości uzyskania w Łodzi kilku dodatkowych kwater prywatnych „na mieście” istnieją bezwzględnie. Tym bardziej, że niepostrzeżenie, ale przecież systematycznie w tych nowych mieszkaniach w blokach zachodzą zmiany ilościowe w rodzinach. Wiele potencjalnych możliwości istnieje i w dalszym ciągu są niewykorzystane.

Można by wyliczyć cały szereg przeszkód w tej dziedzinie, ale wymienimy tylko najważniejsze: lek głównego lokatora przed przekwaterowaniem do mniejszego lokalu, gdy ujawni chęć przyjmowania przyjezdnych na nocleg oraz — brak tradycji. Łódź nie słyną z gościnności, ale w kwestii uczynienia z jednego pokoju azyłu dla tych, którzy w hotelach nie mogą znaleźć noclegu, brak jest tradycji. Bo poza tym rzecz jest całkiem opłacalna — właściciel pokoju dostaje za noc około 40 zł, przy czym jego świadczenia ograniczają się jedynie do przygotowania dla gościa czystej pościeli.

Rzecz warta jest więc zachodu — należałoby przemysśleć sposoby rozwiązania umiędzynarodowienia celów jak najszybszego rozszerzenia prywatnej bazy noclegowej „na mieście”, tym bardziej, że noclegi te, zwłaszcza w domach z nowego budownictwa, mają wysoki standard cywilizacyjny, mogą być więc atrakcyjne i dla gości i turystów zagranicznych, których nie zawsze wiadomo gdzie pomieścić.

2.

Powróćmy do okresu przed pierwszą wojną, i nawet do międzywojennego. Był „Hotel Polski” przy Piotrkowskiej 3, „Monopol” przy Zawadzkiej i „Manteuffel” przy rogu Zachodniej i Zawadzkiej, był hotel „Grand”. A na mieście — wiele kwater prywatnych. Trzeba stwierdzić, że w okresie międzywojennym wytworzyła się nawet cała warstwa łódzian zawodowo trudniących się wynajmowaniem pokoi. A przecież Łódź była tylko centrum bałwanianym. Unaczynając więc pilne potrzeby Łodzi w dziedzinie hotelarstwa zwróćmy uwagę, że nasze miasto jak nigdy przedtem, i jak niewiele miast w kraju i Europie, stało się bardzo zróżnicowanym i bogatym ośrodkiem życia przemysłowego i handlowego, ośrodkiem naukowym. Mamy wiele central handlu zagranicznego, centralnych instytucji o znaczeniu ogólnopolskim, wiele instytucji badawczych i naukowych, Łódź jest wreszcie stolicą filmu polskiego — już niezależnie od nieuzasadnionych pretensji do tego tytułu ze strony Warszawy czy Wrocławia posiadających, jak wiadomo, również produkcję z zakresu X Muzy.

W tej sytuacji wykorzystanie łóżek hotelowych w Łodzi wynosi obecnie 99,7 proc. (przeciętna w kraju — 85 proc.), należy zatem wierzyć anegdoty o pewnym przybyszu, który zniknął bezwotnymi poszukiwaniami noclegu symulował zatrucie pokarmowe i zgłosił się do pogotowia w nadziei, że przy pomocy tego sposobu, zanim symulacja wyjdzie na jaw, wreszcie się prześpi. Oprócz sędziwy tak ważnych instytucji i central, o których wspomnieliśmy, w Łodzi urządziła się gęsta tawarowa i zjazdowa, konferencje krajowe i międzynarodowe,

we, ale przecież już bez tych zjazdów i konferencji, bez tych międzynarodowych spotkań hotele w Łodzi są wykorzystywane w 100 procentach! Mówi się więc, że w tym mieście jest już gdzie spać, bo to i Dom Technika i wiele dużych sal w różnych instytucjach, ale nie ma jeszcze gdzie spać. W ciągu doby w łódzkich hotelach odmawia się noclegu przeciętnie 120 osobom, co oznacza, że w ciągu roku — licząc tylko 50 zł za łóżko hotelowe — miasto traci ponad 2 mln zł. Oczywiście nowy hotel kosztuje znacznie więcej, ale już to wyliczenie dowodzi, jak noclegowe przedsięwzięcie szybko się amortyzuje. Zresztą liczby dotyczące gości odchodzących z hotelowych recepcji z kwitkiem byłyby jeszcze wyższe, gdyby nie to, że wielu obywateli naszego kraju omija Łódź wędząc z góry, że nie ma w niej gdzie się przespać.

W powojennym 20-leciu Łódź jest jedynym miastem, w którym nie wybudowano nowego hotelu. Były oczywiście potrzeby daleko pilniejsze dla szybko rozwijającego się miasta, zważywszy na budownictwo mieszkaniowe i oświatowe, w gospodarce komunalnej — ale fakt pozostaje faktem. Wiele i posłowie łódzcy czuli się powołani do poruszenia sprawy nowych łóżek w mieście na forum sejmowym. Kilka lat temu „Miastrprojekt” opracował pierwszą koncepcję hotelu dla Łodzi. Jej realizacja miała kosztować 42 mln zł (około 400 łóżek), ale z czasem koncepcja została zmieniona i obecne koszty realizacyjne wzrosły już do 78 mln zł. Władze miasta czują wagę problemu i niezależnie od ogromu pilnych zadań do realizacji biorą na swe barki i ten wysiłek. Zarezerwowano już 8 mln zł na wstępne roboty, załatwiono sprawę lokalizacji.

Hotel ma stanąć frontem do parku kolejowego przy ulicy Kilińskiego 57, ma posiadać 15 kondygnacji, stanowić w tym fragmencie miasta nowoczesny akcent wysokościowy. Wszystkie pokoje wyposażone będą w łazienki, a dla wygody gości krajowych i zagranicznych, przewidziano również restaurację i kawiarnię, kantor wymiany walut, sprzedaż pamiątek i inne usługi — normalnie jak w hotelu z prawdziwego zdarzenia. Projekt techniczno-roboczy ma być gotowy na jesieni, cały wysiłek wszystkich zainteresowanych jednak zmierzają obecnie do tego, aby hotel wszedł wreszcie do planu na rok 1963.

Na marginesie. Rozumiejąc trudności z jakimi borykają się wszystkie prawie biura projektowe, czy nie warto by prze myśleć ewentualności skorzystania z projektów już zrealizowanych w innych miastach? Przyspieszyłoby to całą procedurę przygotowania inwestycji, a poza tym — na cudzych błędach uczyć się jest korzystniej.

Lokalizacja nowego hotelu pasuje jak ułat do konkretyzującej się koncepcji przyszłego centrum handlowo-administracyjnego miasta. W pasie od Główniej na północ znajduje się znaczna ilość obiektów, przeważnie o charakterze wysokościowym, nie można więc było znaleźć lepszego miejsca na hotel, którego goście w czasie pobytu w naszym mieście będą mieć w tym centrum wiele spraw do załatwienia.

4.

Oczywiście na nowy hotel trzeba poczekać kilka lat. A tymczasem wykruśka się obecny stan łózkowego po-



śladania, po każdym zasadniczym remoncie ubywa łóżek (bo i te nowe apartamenty z łazienkami zajmują nieco metraży), aby więc przerzucić jakiś most między dniem dzisiejszym a nową hotelową rzeczywistością za lat kilka, warto już dziś pomyśleć o znalezieniu przejściowych pomieszczeń, łagodzających hotelową biedę miasta. Ludzie zainteresowani problemem, wraz z dyrekcją Hotelu Miejskich, myślała poważnie o koncepcji przystosowania do potrzeb hotelowych jakiegoś budynku poszkolnego.

Sytuacja w dziedzinie budownictwa oświatowego jest w Łodzi coraz lepsza, a w najbliższych latach poprawi się jeszcze bardziej choćby ze względu na stopniowe zmniejszanie się ilościowe roczników w granicach obwodu szkolnego, więc i ze znalezieniem odpowiedniego lokalu nie powinno być większych trudności. Bardzo łatwo można również załatwić sprawę wyposażenia wnętrza takiego przejści-

owego hotelu — meble i urządzenia można już obecnie wygospodarować w innych hotelach miejskich. Chodzi o 100—150 łóżek, które zlagodzą sytuację na najbliższe lata zanim stanie nowy, 15-kondygnacyjny wieżowiec na Kilińskiego.

A poza tym — nawet po uzyskaniu nowego hotelu wskaźnik łóżek na 1000 mieszkańców poprawi się w niewielkim tylko stopniu, bardzo aktualna więc nadal jest sprawa rewindykacji obiektów pobotelowych w mieście. Przystosowanie ich do potrzeb ruchu hotelowo-turystycznego na pewno będzie sporo kosztować, ale i tak znacznie mniej, niż nowe obiekty budowane od fundamentów. Zarówno jednak przywrócenie gospodarce komunalnej miasta budynków, w których mieściły się kiedyś hotele jak i prace nad ich adaptacją wymagać będą wielu zabiegów, energii i... nieustępliwości.

Nożycami przez PRASĘ

JAK TO SIĘ DZIEJE?

Tyle pisze się i mówi o ochronie przyrody, a wam dale buszuja. Wandale i szkodnicy na wielką miarę. Gliną ryby w Dunajcu, Sole, Skawie, Wiśle, ileż to w śródmieściu Łodzi w dwudziestolecie zniszczone drzewa, a przede wszystkim krzewy! Jakże często bezskutecznie wyglądała walka o zabytki. Konserwatorzy swoje a inwestorzy różnych przedsięwzięć i budowli swoje.

Tym razem „Kamena” walczy o zabytki Lublina. Znacznie wcześniej burzo no tam np. lewe skrzydło znanego z monografii, poświęconych architektury, Zamku, Puławskie „Azoty” nadal nie rezygnują ze swoich inwestycyjnych zakusów w Kazimierzu nad Wisłą.

Dalej idmy za „Kameną”: zniszczono grodzisko w Chodliku, przeprowadzając przez środek wykopa-

lisk rowy melioracyjne. Zdeprawowano zabytki archeologiczne w Gródku nad Bugiem, w Leszczynie, w Podolowie. Przypominaliśmy na tym miejscu sprawę ratusza w gdańskim.

Piętnastowieczny zamek w Krasiecznie poddano konserwacji wtedy, gdy to kosztowało o ładnie parę milionów złotych.

Przykładów, niestety, bez liku. Zarówno na dewastację zabytków w kraju, który z dumą obchodził Tysiąclecie. W którym tyle szkód wyrządziły wojny, zwłaszcza ta ostatnia. A i pierwsze lata powojenne nie były z różnych względów życzliwe.

Dlatego tak trudna jest walka o to, co świadczy o przeszłości i o aktualnej kulturze społeczeństwa? Ba, dlaczego stała się coraz trudniejsza? Skąd to spotęganie big-beato wego podejścia?

Nie jestem człowiekiem kompetentnym, ale chyba nasze ustawodawstwo w tych dziedzinach wymaga szybkiej rewizji. Odpowiedzialność instytucjonalna to czasem w praktyce odpowiedzialność pozorna, nikogo nie dotykająca osobiste. W ustawodawstwie należy szerzej uwzględnić moment odpowiedzialności osobistej.

JAK TO SIĘ DZIEJE? (c.d.)

Do Wielkiej Encykli. Powołanej, do zawartości niektórych hasel, a przede wszystkim do pominięcia hasel liczących dotąd zgłoszone pretensje. Ale pretensja Wł. Machajka („Życie Literackie”) chyba przesłała wszystkie dotąd spotykane. Okazuje się, że zniekształcono, upiornie i zubożono informacje odnoszące się do martyrologii polskiej z lat okupacji. Sfrakcjonowano dane o egzekucjach i o obozach. Autor na poparcie wywodów przytacza liczne przykłady, kończąc:

A jakim insynuacjami pachnie sformułowanie, że „obozy zagłady istniały tylko na ziemiach okupowanych Polakami”? Tylko sygnalizując skandal. Sprawa wymaga głębokiej analizy i naprawy zła. Nie tylko. Także zabezpiecze-

nia się na przyszłość przed skandalami, fałszami. Spo gładam ze strachem wkoło: jak się nazywa tych, którzy zapominają o krwio moich najbliższych zamordowanych w kacetach, pod plotami?

OSZCZĘDZANIE

Mimo iż niesamowicie dużo wydajemy na alkohol, to jednocześnie oszczędzamy. Według danych z grudnia 1966 roku na jednego mieszkańca przypadało 2.255 zł oszczędności. To statystyka, bo na pewno nie ma wśród oszczędzających tych, co tyle wydają na wódkę.

Okazuje się, że oszczędzamy dużo, ale nie wytrzymujemy liczących porównań. Choćby z obywatelami NRD. Jednak doko nałmy pięknego skoku: od milarda zł w 1955 roku do 60 mld!

„Polityka” ogłosiła wyniki ankiety na temat: kto z czego i na co oszczędza? Analizując jej siłę rzeczy ułankowe i zapewne niezbyt reprezentatywne dane, „Polityka” postuluje większe zaktywizowanie działań PKO. Nie tylko w zwiększeniu udogodnień w posługiwaniu się szarymi książeczkami, ale i w kierunku wzbogacania celów oszczędzania. Ankieta „Polityki” o

oszczędzaniu nie miała wielkich, naukowych ambicji. Miała być sondą próbną. Od lat lansujemy w naszym piśmie tezę, że PKO stać na bardziej dynamiczną politykę. Jest to instytucja ciesząca się zaufaniem, szacowna, żeby nie powiedzieć dostojna, a jednocześnie nierzeczna. Tym czasem — naszym zdaniem — predestynowana jest do odegrania aktywnej roli w rozszerzeniu inicjatyw gospodarczych. Mamy tu na myśli nie tylko system oszczędzania na mieszkanię, ale także przyłożenie się PKO do rozszerzenia turystyki zagranicznej, a być może także jakiś formę zabezpieczenia na starość poprzez docelowy system oszczędzania itd.

Zatrzymajmy się zwłaszcza przy formie zabezpieczenia na starość, pamiętając o wysokości naszych rent!

VOILA!!!

Utykuje kibic sportowy w poważnym skądinąd tygodniku „Świat”, że bardzo często znajduje się w bec dylematu: zostać w domu i oglądać transmisję telewizyjną z zawodów sportowych czy wyjechać na zieloną trawę, by od począć z pozytywnym dla siebie i zdolności do wy-

dajnej pracy? Aż dokonuje odkrycia:

„Każdy sposób jest zły, a jedyny wydaje mi się zainstalowanie telewizorów we wszystkich punktach podmiejskiego wypoczynku...”

Innymi słowy: w lasach, nad jeziorami i stawami, na pobrażach łak. Ludzie narzekają na decyzje, na brak nawet względnej ciszy, na motocykle bez tłumików, na tranzystorowe radia itd., a tu masz ci: niektórym na łonie natury brakuje telewizorów!

Butelki po wódce na stacjach nie świadczą dobrze o wielu kibicach sportowych. Ten felieton także!

NASZA DZIAŁALNOŚĆ EDYTORSKA

Czytaliśmy w prasie o międzynarodowej wystawie książek krajów socjalistycznych w Moskwie. O literaturze politycznej w opracowaniu edytorskim przedstawia się nadal niezbyt ciekawie, spokojnie na ogół egzystują schematy i szaryzmy, o tyle świeci sukcesy literatura piękna.

Pisze felietonista „Współczesności”:

W tej dziedzinie szata edytorska jest najuboższa, najbardziej zróżnicowana. Ciekawe rozwiązania

edytorskie klasyki prezentują Rosjanie i Energowcy. Współczesna literatura najciekawiej prezentują Czesi, Węgrzy i Polacy. W dziedzinie ilustracji dziecięcej nie mamy na razie po ważniejszych, konkurentów. Podkreślam nasz udział, nasze osiągnięcia. Sukces? Tylko częściowy. Porównując szatę edytorską Rumunów, Węgrów czy Bułgarów przed dziesięć laty i dzisiaj, dostrzegam łatwo ogromny jakościowy skok naprzód. W zestawie naszych książek tego skoku się nie dostrzegam.

Nadal źle się prezentuje osławiony „cykl produkcyjny” książek. I to nie tylko u nas, co nie jest żadną pociechą, choć niektórzy lubią takie źródła optyzmu.

Książki po dwa lata w produkcji, po roku — pot roku to już osiągnięcie. Szereg tytułów przegrywa swoją szansę zanim jeszcze opuściło drukarnię.

JAN OLECHNO

Medycy W terenie

— Co to za doktory, co nie biorą pieniędzy?
— Jak doktory nie biorą pieniędzy, to chyba źle leczą...

Z taką opinią spotykali się już niejednokrotnie studenci łódzkiej Akademii Medycznej wyjeżdżający latem w teren na obozy naukowo-badawcze. Nie tylko na wsi pokutuje jeszcze mniemanie, że im lepszy lekarz, tym więcej bierze za leczenie. Podobnie z lekarstwami — im droższe, tym pewnie skuteczniejsze. Ten doktor dobry, który dużo leków zapisuje...

Aby obóz naukowo-badawczy udało się w pełni, trzeba pozyskać zaufanie miejscowej ludności, przełamać w niej rozmaite opory, nie-

chęć, zwalczać przesady, czasem na wet zabobony.

W ubiegłym roku — opowiada mgr Andrzej Kaczmarek, socjolog z Zakładu Organizacji Ochrony Zdrowia Akademii Medycznej w Łodzi — obciążony koszt jednej wieszniaczki. Nie chciała się na to zgodzić, bała się, że przez „dziury” po ścięciu kółtuna będą jej „wchodzić choroby”...

Obecny obóz jest już czwartym z kolei. Pierwszy zorganizowano w 1964 roku w Sielpi. Dwa następne — w 1965 i 66 roku — w Łękawie. Bełchatowskie wybrano nieprzypadkowo. Taka lokalizacja obozów podyktowana została bardzo ambitnym i niezmiennie interesującym planem: opracowania zagadnienia, jak industrializacja wybranego okręgu wpływa na zdrowotność zamieszkującej go ludności. Ponieważ w okolicach Sielpi i Łękawki wykryto bogate złoża węgla brunatnego i w związku z tym zaplanowano uprzemysłowienie tego okręgu — tam właśnie udali się na badania nasi studenci wraz ze swymi naukowymi opiekunami. Przez te trzy lata zebrano bogaty materiał. Już teraz dostarcza on ciekawych spostrzeżeń. Ale w pełni zaowocuje dopiero wtedy, gdy industrializacja tego okręgu będzie już faktem dokonanym i kiedy obserwować będzie można konsekwencje tego procesu w różnych dziedzinach życia tamtejszych mieszkańców. Może by były to kwestie kilkunastu, może dwudziestu lat czasu. Trudno to przewidzieć — zamierzone inwestycje przemysłowe przesunęły w planie gospodarczym na pozycje dalsze. Termin ich realizacji wpłynie na przebieg i okres trwania

badania. Dlatego też w bieżącym roku zamieniono miejsce pobytu obozu — pierwszy etap badań w tamtym okręgu jest już zakończony.

Tegoroczny obóz odbywa się w Szczercowie. Około 60 studentów mieszka wraz ze swymi opiekunami — pracownikami naukowymi Akademii Medycznej w pięknej, niedawno wybudowanej szkole. Pracy jest dużo, ale nie brak też czasu na wypoczynek. Zaczęły się przebiegi zniwa, ludzie można więc badać tylko wczesnym rankiem, albo późno po południu lub wieczorem. Można korzystać z pięknej pogody... Do rzeki Widawki trzeba iść chyba 1,5 km. Nie jest wielka, to prawda, ale kapać się, a miejscami i popływać można. Las też niedaleko, a w nim — zatrzęsienie jagód. Za to grzybów — ani na lekarstwo. Za sucho. Może pokażą się, jak trochę popadnie...

Jeśli ktoś ma ochotę na sport — proszę bardzo. W pięknej sali gimnastycznej siatkówka odchodzi, aż miło. Można też pograć w ping-ponga. Sala gimnastyczna przydaje się zresztą nie tylko do sportowych czynności. Jest wśród studentów orkiestra z klubu „Eskulap”. Mogą więc tańczyć medycy, ile zechcą. Szkoda tylko, że i tutaj panoszą się owa, nieszczęsna dla pań feminizacja: 70 proc. uczestników obozu stanowią kobiety.

Praca zajmuje studentom około sześciu godzin dziennie — mówi opiekun naukowy obozu dr Józef Szymczykiwicz.

Z dwóch tysięcy mieszkańców Szczercowa wylosowano sto rodzin, które podlegają ankietacji i dokładnemu przebadaniu lekarskiemu. Rodzina prowadząca odrębne gospodarstwo została bowiem uznana za podstawową jednostkę w prowadzonych badaniach. Ankietę opracowano w ten sposób, by udzielanie na nią odpowiedzi pozwoliło zorientować się, jaki jest stan świadomości w sprawach higieny, zdrowia, chorób i zapobiegania im oraz leczenia domowymi sposobami wśród badanych rodzin. Studenti chodzą dwójkami przeprowadzać ową ankietację. Równocześnie czynią obserwacje dotyczące warunków mieszkaniowych i higienicznych, w jakich żyją wylosowane rodziny. Wnioski z ankiet skonstruują się potem z wynikami badań. Pozwoli to określić, czy istnieje i jaka jest zależność pomiędzy stanem zdrowotnym tej populacji, a jej świadomością zdrowia i choroby. Badania lekarskie obejmują badania internistyczne wraz z analizami (obóz posiada własne laboratorium), stomatologiczne, ginekologiczne, pediatriczne, a w przypadku dzieci trudnych lub opóźnionych w rozwoju — psychologiczne.

Obóz studencki świetnie zorganizował swą pracę. Szczerców posiada własny radiowęzeł. Wykorzystali go studenci i przez pierwsze trzy dni poinformowali dokładnie społeczeństwo o celach i zaplanowanym przebiegu akcji. Dzięki temu nie ma kłopotów z badaniami: ani tymi ankietowymi, ani lekarskimi. Ludzie chętnie się im poddają, bo wiedzą: kto nie lubi mówić o zdrowiu — swoim i najbliższym! Lody zostały przełamane. A i badaniom lekarskim ludzie też się nie sprzeciwiają, są przecież bezpłatne. To ważne. Mieszkańcy tutejszych okolic nie należą bowiem do zamożnych. Głównym źródłem utrzymania jest rolnictwo. A gospodarstwa — roz-

drobnione. Można pracować w miejscowej spółdzielni rzemieślniczej, ale takich szczegółów nie ma wielu — możliwości przyjęć są ograniczone ilościowo. A jak nie ma pracy, nie ma ubezpieczenia. Chociaż więc jest w Szczercowie Ośrodek Zdrowia i dwóch stałych lekarzy, mieszkańcy tej gromady i okolicznych wsi, zachęcani pogadankami radiowymi, ko rzystają masowo z możliwości leczenia w obozie. Studenti i ich opiekunowie nie poprzestają bowiem na działalności naukowo-badawczej. Pro wadzą także działalność usługową: od godz. 15 badają codziennie wszystkich zgłaszających się po pomoc i poradę, a jest ich dziennie około 100 osób. Stworzyli więc coś w rodzaju małej przychodni. Jest w niej 5 gabinetów lekarskich: internistyczny, stomatologiczny, ginekologiczny, pediatriczny i psychologiczny. Miejsce ma fama dobra widać opinie wy stawiła naszym medycom, skoro zgła sza się tu aż tylu pacjentów. Oto przykład naprawdę pięknej działal ności, prawdziwie lekarskiej etyki: nieść pomoc wszystkim potrzebują cym, bez oglądania się na to, czy własna kieszeń skorzysta coś przy okazji.

Pogadanki radiowe z dziedziny higieny i oświaty sanitarniej — to też kawałek dobrej roboty. Akcja nie skończyła się bowiem w wstępnych informacjach. Trzy razy w tygodniu medycy z obozu zapoznają miejscowych radiostuchaczy z profilaktyką w zakresie niektórych chorób oraz z innymi sprawami z dziedziny higieny i oświaty sanitarniej. Nie koniec na tym. Dwa razy w tygodniu studenci starszych lat wygłaszają w zamkniętym obozowym gronie referaty naukowe w oparciu o wyniki przeprowadzonych już na miejscu badań. Potem odbywa się dyskusja — wieczorne dysputy eskulapów.

To bardzo ważna sprawa — mówi dr Szymczykiwicz — żeby studenci potrafili nie tylko dobrze wywiązywać się ze swych obowiązków medycznych, ale i mówić o nich umiennie. Na studiach nie ma czasu na wdrażanie w to drugie. I zdarza się, że student wie dużo, lecz gdy przyjdzie mu sprzedać swoje wiadomości, ma szalone trudności, ledwo coś wyduka.

Do tańca i do różańca nasi medycy — myślę sobie obserwując obóz. I pracować i wypoczywać potrafia. Nieczęsto umiejętności te chodzą ze sobą w parze. Choćby taka rzecz: przywieźli ze sobą aparat projekcyjny, ścigają filmy z Łodzi. Trzy ty tyty tygodniowo! — naprawdę atrakcyjnie. Słowem — podoba mi się tutaj. Zespół sympatyczny, a i sprawny, aż miło.

Obóz miał trwać równy miesiąc, od 1 do 31 lipca. Ja zawiatałam do Szczercowa 18-go. Do tego dnia wykonano około 80 proc. zaplanowanej działalności badawczo-naukowej. Jeszcze jeden plus na konto naszych eskulapów.

Tylko dwoje ludzi odmówiło poddania się badaniom: jeden mężczyzna — „zdrowy jestem, po co mi badania” — nie dał się przekonać i... miejscowa pielęgniarka.

A oto garść odpowiedzi na zadawane w ankiecie pytania.

■ Proszę powiedzieć, co to jest choroba. Jak się jej objawy?

— Gorączka, jeśli się nie chce, bać się.

— Rozstrojone nerwy i wszystko boli, bo nerwy są najważniejsze, są przyczyną wszystkich chorób.

— Choroba wtedy, kiedy jeść nie można, siły opadają.

— Gorączka, czy we łzach, katar.

— Człowiek chory nie ma radości, sprawności, jęczy.

■ Jaka choroba zdaniem Pana(i) jest chorobą wstydliwą? Dlaczego?

— Gruźlica, bo jeden zaraża się od drugiego.

— Rak, bo nie można go wyleczyć.

— Choroba weneryczna, bo przy badaniu pokazać trzeba całe ciało.

— Gruźlica — ludzie się z nią ukrywają.

— Choroba weneryczna, bo chodził tam, gdzie nie potrzeba.

■ Co Pana(i) zdaniem należałoby robić, aby być zdrowym?

— Dobrze się odżywiać, długo spać, mało pracować.

— Nie przezięczać się i powietrza używać, myć się.

— Czystość trzymać koło siebie.

— Dobrze się ubierać, mniej pra-

■ Jedni ludzie chorują rzadko, inni częściej, z różnych powodów. Jak się Panu(i) wydaje, jakie czynniki najczęściej powodują chorobę?

— Niedożywienie, dużo ktoś pracuje, nieczystość, albo — mało ktoś pracuje, a dużo chuligani (rozpuszczają).

— Najważniejsze jest, czy ojciec i matka są zdrowi. Dziecko od rodziców bierze zdrowie lub choroby.

— Z niedostatku.

— Najczęściej chorobę powoduje za-
zębienie. Człowiek choruje tylko wtedy, gdy się zaziębi lub coś złego zje.

— Wojna pozostawia ślady, każde pokolenie jest słabsze, bardziej chore-
rowite.

■ Co by Pana(i) zdaniem należało zrobić, żeby ludzie mniej chorowali?

— Nic nie można zrobić. Choroby nie zależą od człowieka. Nikt nie może pomóc.

— Najważniejszy — spokój, zadowolenie. Wówczas wszystkie choroby przebiegają łagodnie.

Wiara w leki jest na wsi bardzo silna. Ale nie jest to tylko zaufanie do medycyny. Jest w tym odrobina czegoś rytualnego, czegoś, co przy-
wodzi na myśl dawne zaklęcia czarowników i nie tak dawne zamawia-
nia babek. W miarę upływu czasu medycyna coraz bardziej pokonuje przesady, pozabawia leczenie tego ry-
tualnego pierwiastka w odczuciu lu-
dzi, uczy ich żyć w lepszych warun-
kach higienicznych. I tylko w jed-
nym napotyka przeszkodę, które
trudno jest pokonać. To już nie spra-
wa Szczercowa. To znacznie szerszy
problem ogólnokrajowy: alkoholizm.
Zdarza się — w domu nędza, brud,
dzieci niedożywione — dwa posiłki
dziennie, mleka i jaj nie widza, bo
sprzedaje się wszystko, — ale wód-
kę się pije...

Nasze „doktory” spisują się dosko-
nale. Nie przynoszą ujemny łódzkiej
medycznej uczelni. Oby nie zapom-
nieli nigdy o swym obozie, jego at-
mosferze. Oby duch dorobkiewiczow-
stwa pozostał im obcy na zawsze.

PS: Szczercowski obóz naukowo-
badawczy Akademii Medycznej z Ło-
dzi finansowany jest przez Minister-
stwo Zdrowia, a jego współorganizatorami są ZMS i ZMW.



Fot. A. Ulikowski

Na świecińskim polu

Dalszy ciąg ze str. 1

nych straciwszy na wojnie konia, dostał za niego odszkodowanie rzetelne, a nie zbyt małe lub zbyt duże.

Uf, dość już tych cytatów i uczonych komentarzy! Przecież jeszcze trochę, a mój bezpretensjonalny szkic zmieni się w wypisy dla grzecznych studentów historii. Wracajmy zatem do Raveneka od którego się to wszystko zaczęło.

Nasz Austriak bacznie śledził marsze Dunina. Dowódca polski po udanym rajdzie nad Zalewem Wiślanym połączył się z posiłkami wystawionymi przez Gdańsk, o czym ciągnął w stronę Pucka. Wiódł 1800 polskich i gdańskich zaciężnych (w tym połowa dobrej jazdy) oraz do 2000 pieszej gdańskiej milicji. Ravenek ścigał załogi z podległych zamków, co dało mu 1100 jazdy i 400 piechoty. Połączył się z nim starosta chojnicki Kasper Nostitz prowadzący 1300 chłopskiej ruchawki zmobilizowanej po kaszubskich wsiach.

Sily Dunina w czasie marszu stopniały do zaledwie 2000 ludzi, bo milicja gdańska niekarna i niezbyt ochocza do boju roz-
lala się po całej okolicy plądrując i gra-
biąc. Nie ryzykując więc napadu na Puck

szedł wódz polski ku Lęborkowi. W drodze, gdzieś koło Żarnowca doszły go przesadne wieści o liczbie ciągnących naprzeciw wojsk Zakonu. Wynik starcia zdawał się wątpliwy. Dunin rozłożył się zatem w równym obozem pod wsią Świecino i postanowił doczekać tutaj ciągnących z Torunia posłków.

Krzyżacy nie zasypiali gruszek w popiele. Ściętymi drzewami zabarykadowali leśne drogi, którymi Dunin mógł wy-
mknąć się z osaczenia i rankiem 17 wrześ-
nia uderzył na wojska królewskie. Ude-
rzyli i ponieśli klęskę. Padł Ravenek. No-
sitz ratował się ucieczką. Najlepsza armia
Zakonu było zniszczona. Szczęście przechy-
liło się na polską stronę i zwycięska li-
kwidacja wojny stała się tylko kwestią
czasu.

Polacy uszanowali ciało krzyżackiego wo-
dza, który bit się mężnie i mężnie poległ.
Odesłano je do Pucka, a następnie pocho-
wano w żarnowieckim, klasztornej koście-
le. I w tym właśnie kościele na próżno szu-
kała grobu Raveneka ekspedycja Katedry
Archeologii Uniwersytetu Łódzkiego latem
1966 roku.

Dlaczego na próżno? Okazało się, że u-
mieszczona przed głównym ołtarzem koś-
ciola, znana od dawna kamienna płyta na-

grobną z napisem uwieczniającym pamięć
dowódcy wojsk zakonnych nie jest bynaj-
mniej pokrywa zamkniętego sarkofagu. Po-
traktowano ją po prostu jako swoisty pom-
nik wmurowany w posadzkę kościelną. A
pod posadzką, przez kilkadziesiąt lat chowa-
no najroźniejszych zmarłych, kładąc ich bez
wielkiegoładu i składu wprost w płaszcz-
ste podłoże. Znajdźcie teraz wśród nich Ra-
venek! W dodatku posadzka była restau-
rowana i nie można ręczyć, czy po tej
restauracji położono nieszczęsną płytę w jej
pierwotne miejsce. Krótko mówiąc, sprawa
wymagałaby przeprowadzenia rozleg-
łych, długotrwałych badań, obejmujących
badanie nawet całej wnętrza kościoła, a na
to nie byłoby na razie przygotowania. We-
le jednak nie wiadomo, czy takiego, sz-
czeroko zakrojonego programu nie zrealizuje-
my w przyszłości. Gra jest warta świecz-
ki.

Zabytki z grobu osoby, której rok śmierci
i pogrzebu jest dobrze znany, to wielka
grabka dla archeologów. Stają się zawsze
wzorcem, punktem wyjścia dla określenia
wieku innych podobnych okazów. Miecz,
pas czy też ostrogi Raveneka pozwoliły-
by nam stwierdzić z całą pewnością, jak
wyglądały te części rycerskiego ekwipu-
ntu w czasie Wojny Trzynastoletniej. Były-
by cenną pomocą w badaniach na polu
bitwy pod Świecinem.

Nie dziwnego, że takie odkrycia kuszą
archeologa. Ale nawet tam, gdzie ich nie
dokonano, archeologiczne badania pola bi-
tewnego mogą oddać historii wojskowej
bardzo cenne usługi, przez zrekonstruowa-
nie pierwotnych warunków terenowych.
Tak oto prace mgr Władysława Filipowia
ka umożliwiły nowe spojrzenie na przebieg
słynnej polsko-niemieckiej bitwy pod Ce-
dynią z r. 972. Mgr Edward Dąbrowski
zmusił historyków do zrewidowania i niek-
tórych, zdawałoby się ustalonych, poglądów
na walki pod Krosnem nad Odrą w r. 1005
i 1015. Krecimy się więc i my, łodzianie,
po świecińskim polu. Może się poszczęśli-
my? Po raz pierwszy przyjechaliśmy tu w oko-
licznościach trochę niezwykłych. Wiosna
późna było w owym roku i choć kalendarz
wskazywał kwiecień, w rozległych lasach
między Wejherowem a Żarnowcem śniegu
nie brakło. Tak samo na świecińskim po-
lu. Po tej gruntownym przeglądzie
bractwo wylewało zimną wodę z chole-
wek wysokich butów gumowych. Chodze-
nia było sporo, bo i polana do małych nie
należy.

Ukryta wysoko wśród lasów, na wchód
od drogi z Wejherowa do Żarnowca, oczom
przybysza otwiera się wielka, jasna prze-
strzeń uprawnych pól. Na skrajku wieś.
Z prawej, nieco w głębi budynki miejscow-
ego PGR. bliżej rząd zasobnych, kaszu-
bskich obelisk i szkoła, pokryta czerwoną
dachówką. Jej kierownik Kazimierz Książ-
ek to nasz ważny sojusznik. Entuzjasta,
głęboko zainteresowany dziejami Świeciny,

Dalszy ciąg ze str. 1

rynku dość ma już ogórasów, ej, przechylę się — martwi się Gadziocha — ale zobacz Józka i próbuj minę poprawić — wiesz ostatnia szansa.

— Ile ty masz tego świństwa? — pyta Józek.

— Przejdź się — mówi Gadziocha.
— Niech zganie — i Józek odchodzi. Wice Gadziocha:

— Cztery metry, Cztery setki.
— Cztery metry, dwie setki.
— Cztery metry, trzy setki.
— Cztery metry — dwieście pięćdziesiąt.

Przebijają ręce i staje się cud. Gadziocha odchodzi z lekkim sercem. Józka czeka jeszcze ciężka i długa walka, ale wie już, że nie straci, że wyjdzie na swoje.

2.

Czekają na świt. Chłopi pochyleni na furmankach, handlarze pilnujący straganów, drzemający pośród ogórasów i kapusty; babciny, których z braskiem przybywa, rozkładają na ziemi toboły. O piątej jeżeli dopisze pogoda, rozpocznie się druga runda: starcie handlarza z nabywcą. Wczesnym rankiem otworzyli bar „Kolibier”. Przy wysokich stołach ludzie żują na stojąco kiełbasę, zapijają piwem popatrząc czujnie przez szyby na swoje stoiska i wozy. Co niesie dzień? Dzień niesie pogodę. Stołce, Unak, Tłok. Z podmiejskich tramwajów ciągną karawany w duszne szmaty. Od Łęczycy, Kutna, Uniejowa i Łutomierska nadjeżdżają wciąż wozy samochodowe, nawet dorożki zawalone szczelnymi warzywami. Rynek już gotowy na przyjęcie pierwszych nabywców — byszczą w słońcu pomidory i salata. Józek kobyte popęda, sortują ziemniaki, czeszą na brezentowej płachcie leży, czeszą obok ogórków na straganie. Dobry towar — myśli Józek i oczy ze snu przeciera, do ataku się czał. Jego żona też otuchę nabrała, nos uciiera skrajem sukni i promiennie patrzy w przyszłość.

Tam na skraju pożarło się dwóch. O miejsce. Józek poszedł ich rozdzielić, a potem zawrócił, bo jakaś babina pikowała na jego kartofle. No, żeby tak zrobić początek, to fart na cały dzień. Zrobił początek: dwa kilo pyrek kupił i wtrzyknął jej jeszcze kilogram ogórków. Przyklepał pierwsze pieniądze i splunął z radości rozcierając ślinę butem. Później już szło...

— Ty, Józku, to głowę masz — cmokała z podziwem żona, a on sprzedawał jak w transie, wybiegał klientom naprzeciw, tu darmocho, tanioccha — krzyczał zdartym głosem — kto nie kupi, to głupi — i paluchem czerwonym towar swój wytykał.

Okolo szóstej kiedy rynek pokał już w szwach i na pobliskiej korei, takim placu przy Łagiewnickiej i Władysławskiej, który jest filia targowiska — rozszalał się chłopski handel z wozów i rozpoczęły koncert przekupki dźwiękami — gdzieś w środku ludzkiego kłobowiska wybuchło zamieszanie. Zobaczyłem młodą kobietę o twarzy skrwawionej, obrzękłej, i gościa pijanego z nocy, ciemny garnitur, papieros za uchem, prowadził ją wół, ona głośno, histerycznie płakała. Weszli na ulicę Ciesla, wyboista i kręta, za nimi tłum i jakieś grubo babsko z kuchennym nożem, żgnie go zaraz w plecy — struchlałem z przerażenia, ale gość pijany z nocy w porę się rozejrzał, przyspieszył kroku szamocąc się ze swoja okrwawiona nania, wówczas z rynku, od straganu, ruszył w pogoń tegi handlarz, i nie wiem kogo chciał pobić, czy te z nożem, czy tych dwoje dratujących gdzieś ulicę, dość, że mu inny traker dźwiał w porę za biele, idąc z tyłu, powiedział, dwa dni na Bałutach mieszkać i bałutiarz uda jesz... Dał mu klapsa i handlarz przysiadł na chodniku łowiąc ustami powietrze. Nie wiem, naprawdę nie wiem, o co tam chodziło, kto kogo pobił, skrzywdził, wykołował, ale scena była historyczna i historyczna scenaria, te domy czynszowe, ta ulica jak z bajki dla koszmarnych dzieci, ten język kwiecisty, zawity, ten plac, na którym przez chwilę zamarił handel i odyży wspomnienia...



Bałucki Rynek

3.

Rynek pamięta stare dzieje. — Kiedy Bałuty były jeszcze wiochą ogromną wiochą, bo sto tysięcy mieszkańców licząca, podlegała gminie Radogoszcz. Rynek pamięta egzekucję powstańców w roku 1863 i pierwszą publiczną egzekucję z roku 1939. Był na granicy Bałut i Łodzi, i opornie wtapiał się w miasto. Krwawy, zadziorny, przez długie lata panowała dintoja; w zamierzonych czasach — w jego okolicy odbywali kwarantannę złodzieje, włamywacze, prostytutki, mety spędzone z całego Królestwa.

W Łodzi rządził fabrykant, na Bałutach gangi opryszków. Głupi był fabrykant, jeśli nie brał pod uwagę nie pisanego prawa tych tak zwanych „nobytowców”, rozpanoszonego wszechwładnia na bałuckiej wiosce. Ale fabrykant przeważnie był mądry, okupowali się potulnie złodziejszkom, kiedy przychodziło przetrwać towar przez Bałuty. Towar jechał w wysokich, zbrojnych wozach, lecz czy mogły być wozy wystarczająco wysokie i zbrojne — by oprzeć się sprytowi Rudego Mamała?.. Brawurze Kulawego Mańka?..

Gang rządził także rynkiem. Miał oko na dostawę towarów, regulował ceny, ścigał haracz, niszczył wylamujących się handlarzy. Taki stan przetrwał aż do drugiej wojny światowej, i Bałuty — choć w roku 1905 zostały przyszyte do Łodzi — wciąż były pod piętnem czarnego prawa. A jak było po wojnie? Bracia Kabany, Szczynio, Roize Nóż — niedzne, reminiscencje przeszłości; próbowali jeszcze potaćować z tradycjami, ale nie wyszli; miasto zaczęło się zmieniać, a już najbardziej Bałuty, a już najbardziej bałutiarze; dziesięć, piętnaście lat temu drżałem, kiedy przyszło iść o zmierzchu przez tamta dzielnicę, na jednym domu pisało: uwaga — bandyci w bramach i zaułkach czaiły się cienie. Dziś nie ma tych bram, tych zaułków i cieni, i wieczorem idę sobie spokojnie, bez strachu jak o czwartę w południe przez Piotrkowską. Wiem, że mechanizm przemian jest skomplikowany — wiem, że niełatwo było zmienić ludzi i oblicze dzielnicy. Ale już fakt faktem, że liczne, dobrze nastawione tryby dokonały cudu: można zerwać z Bałut starą etykietę, która — jeśli jeszcze do czegoś przystaje, to chyba do rynku; i nie dlatego, że tu niebezpiecznie, nieuczciwie, nie z tych rzeczy; targ robi więcej dobrego niż złego, i na pewno jest bardzo potrzebny; lecz stoi

w sercu pięknej dzielnicy, ładniejszej pewnie niż śródmieście, ze wszystkich stron nacierają na niego przestronne ulice i słoneczne bloki, atakują go nowe projekty, nowa wizja współczesnego miasta... Wiesz co?... Musi ustąpić... Ze swoją egzotyką, kolorystą, swoim — jak mówią niektórzy — brudnym, ale frapującym obyczajem?..

4.

Józek, targowy przechera, ma dzisiaj czterdzieści pięć lat. Na bałuckim targowisku handlował jego dziad, ojciec i on sam, od niepamiętnych czasów. Ale dzieci Józka wylamali się z tradycji. Córka farmację studiując, starszy syn gimnazjum kończył, młodszy, brzdąc jeszcze, lotnikiem chce zostać. Józek, jak mu kielicha postawić, przysną, że mu z dziećmi o porozumieniu trudno. Wy już wiecie, o co chodzi: nosa petaki zadzierają, ojca się wstydzą, krew rodzonej krwi się wypiera — a to boli; kto na naukiłoży — syczy Józek i wali się w piersi straganiarzską ręką. — Kto ubierał i żreć dawał, no kto!

Wona! Ale Józek — trudno ukryć — kocha swoje wyrodne latopisze, i nawet jeśli się żali, to słycać w tym dume. Mało: słycać zrozumienie dla ambicji synów i córki. Każdą ma prawo zamoczyć w życiu — powiada. Jednego nie lubi: jak go córka namawia, żeby z handlem zerwał, zawoził zmienić. Zna w takich chwilach idzie mu w sukurs. Wy się — mówi do dzieciaków — ołca nie czeplajcie, bo on nie takich jak wy może nauczyć rozumu.

I ma rację. Józek życie zna — jak nikt. I królem jest targowiska. Pułkownik na niego mówią: nie dlatego, że w wojsku służył i że przewodził straganiarzom, a dlatego, że ze swojej naiwności towar układał na półkach aby podnieść poziom estetyczny. Z tych innowacji szybko zrywał, bo na rynkach wszelka estetyka raży. Ale przez wisko zostało. Wybrać, przebrać! — krzycz nieprzerwanie, a dzień dobija południa, a głos mu ochrypl jak po meczu piłkarskim. Jakby przez dwie godziny zagrzewał do walki EKS.

Przed południem, kiedy zbliża się trzecia runda, kiedy sztykuje się decydująca rozgrywka pomiędzy straganiarzami którzy jeszcze zgodni są w cenach, solidarni — Józek ustępuje tronu żonie i rusza na krótką

przechadzkę po rynku: odwiedza koreje, gdzie chłopcy uwilają się na wozach, rusza pod kino „Świt”, gdzie chłopiec ze wsi siedzi w kucki pod ścianą, z batem w dłoni, z bransoletą na ręce czeka niecierpliwie na na drugi seans filmu „Fantomas”. Potem sunie Józek środkiem placu, niby dla wytechnienia, ale przecież rozgląda się uważnie, na stragany popatrzyć na taryfe; szanowanie, szanowanie — pozdrawiają go znajomi — odkładają się grzecznie. Trochę dłużej zatrzymał się przy straganach z książkami; kryminały wświechtane przejrzał; od inwalidy, co pracuje w samochodzie o trzech kołach, przerobionym z motocykla — kupił weki do stoików, starej się przyda. Zagadał do gołębiarza, pociągnął za uszy króliki, szklane wody sodowej wypił przy saturatorze obok stoiska z drobiem przeszedł i stoiska z nasionami, sera wyrobował białego od znajomego wieśniaka, buty jakieś solidne przymierzył na nogę, ale mu nie pasowały, za sztywne — powiedział — za sztywne.

A na papieroska wybrał sobie miejsce obok gościa, co sprzedaje różne świeczki i duchowne obrazki. Ten biedak przemawia bardzo niewyraźnie, ale z Józkiem rozumieją się świetnie.

Telelat! — ciągnie Józka za rękaw i zanosi się śmiechem. — Telelat! — i wskazuje na kobietę, której przypasał podłuzny, słodki jak landrynka obrazek, przedstawiający (nie chcę urazić nieczyli uczuć religijnych) Madonnę z dzieckiem na tle drzewnego krajobrazu: piramidy, palmy pomieszczone z topolami, fragmenty buszu i rozdzimnych polskich lasów, koktaili odurzających i słodki. — Telelat! — i ma to znaczyć: pięćdziesiąt, słyszałeś jaka cwana (lilale lala lala) pięćdziesiąt za takie małowidło (telelat la lala lalolilo).

— A ile? — pyta speszone kobieciecko.

— Tłitla telelat!

— Trzysta pięćdziesiąt — tłumaczy usług nie Józek. Klepie landszafciarza w ramię i odchodzi. I śmieje się w duchu z ludzkiej naiwności. Mija gościa, który zachwala mu chłopa (tu artykuł prima siort!), potem długie rzędy słoików z planktonem i egzotycznymi rybkami (kupisz pan taki słoik, to masz pan w domu piękny mebel), a potem wchodzi w aleję warzywno-owocową, oczekującą wodą i sokiem, i twarz tężeje mu z napięcia, bo widzi, co się dzieje: Kowalczyk z Dolnej spuścił ogóras na półtora, jego szwagier, Roman Malik, niejaki, wrzeszczy czerwony na góbie: po dwa złote polskie — ziemniaki — po dwa! Nie ma już zgody w straganiarzskich cenach, konkurencja przybiera na sile, ci, co kupili od budyłarzy niewielką ilość towaru trzymają się jeszcze, mało mają do stracenia (i do zyskania), ale kilku takich hazardzistów jak Józek, obłożonych stertami ogórasów i kartofli, mających w zwycięzcu zagrywać wa banque, przeżywa głęboki dramat. Ile to razy Józek przegrał. Ile razy, pod wieczór, został na rynku z nie sprzedanym, a przecież świeżym towarem, na który popyt spadł do zera, którego nawet nie opłaciło się transportować do domu, bo koszty transportu powiększyłyby stratę. Ile to razy chytrzy klienci wycekalili go do ostatniej chwili i kiedy opuszczał pokonany stanowisko, brali jego krwawiąc za darmo, pełnymi koszami...

Ale Józek najczęściej wygrywa. Bo ma odwagę, tupet i fantazję. I szalone pomysły. Jest jednym z nielicznych handlarzy, którzy decydują się nieraz kupować „na pniu”. Wy nie wiecie co to znaczy? Kupię „na pniu”, to pojechać wczesną wiosną do budyłarzy lub rolników, wybrać sobie rząd drzew owocowych czy kolonię warzywnych krzaków, zapłacić za to z góry, i czekać (loteria) na urodzaj i zysk albo na posuchę i straty.

Więc i dzisiaj Józek nie szybko spասuje. Każdy ma prawo zawalczyć w życiu — szepce do siebie ulubione powiedzonko. Zajmuje miejsce przy swoim stoisku, parę słów ściszonej do żony, badawczym spojrzeniem omiata przewalający się tłum, i eksploduje nagłe historycznym wrzaskiem reklamy, rażąc konkurencję niebysową zniżką:

— Wybrać, przebrać, po złotemu całe kilo! Te bombasy, amerykańskie — za darmo! No i już! Tylko u mnie, za pół ceny, a raj w góbie i rozpusta w ustach!...

ANDRZEJ MAKOWIECKI

pomaga nam jak może, choć nasze wnioski nie zawsze są zgodne z jego dawniejszymi domysłami. Tuż za wsią teren łagodnie spłetrza się w rozległy płaskowyż, równomiernie opadający ku leśnym krawędziom polany. W prawo, ku dolowi, od strony Wejherowa, ciemna kępa drzew porasta ogromny kamienisty kopiec zwany „Krzyżaki” (pamięć o bitwie jest żywa w okolicy, ale może to pamięć wtórna, wpływ szkoły, uroczystych obchodów, wycieczek?). Niedaleko od kopca, bardziej w głębi, tuż pod lasem bliższy lustru wodne, okolone kępami sitowia. Jezioro Rogoźnica.

W tym oto ślepiem krajobrazie sroczono niewielką bitwę, której wynik odrobił błądy Konrada Mazowieckiego, powetował klęskę Łokietka, wyrównał niedosyt Grunwaldu. Tu kopie, miecze i kusze duninowych żołnierzy powróciły Polsce Pomorze, powrócił dostęp do Bałtyku. Smętek, pomorski demon tak wiernie wcielony w mni chów Teutońskiego Zakonu na kilka wieków wpuścił z pazurów kaszubską ziemię.

Ale dajmy spokój tym sentymentalnym refleksjom; niech lepiej mówi Lindau, gdański kronikarz współczesny Trzynastoletniej Wojnie: przyciągnęli z lasu zaciętni Krzyżaków, także ze swoim taborem... A skoro ludzie królewscy ujrżeli, że ze swoim taborem nie mogą się cofać,

bo odwrót mają zamknięty przeto gdańszczanie i inni wszyscy konni i trabanci*) zostali wyprowadzeni z taboru, tabor zaś powierzono Łukaszczykowi, który był dowódcą gdańskiej konnicy, aby z pospolitym ruszeniem gdańszczan chronił go... Za czym ruszywszy ze wszystkimi hufcami jazdy i piechoty wpadli całą kupą na siebie bijąc jeden drugiego... i rozzerwano szys panów żoldaków**), aż ci rzucili się do ucieczki. I tak z Bożą pomocą otrzymano zwycięstwo, panowie żoldacy zostali przełamani i rozbici, a poległo spośród jeźdźców, mieszczan i chłopów Zakonu 1000, którzy zastali trupem pole świecińskie i lasy wszędzie wokół, a wylano jeszcze około 70 znamienitych szlachciców, których potem na polu powieszono. Sam Fritz Ravenek pozostał na placu... Ze strony królewskich ludu poległo nie więcej jak 100, lecz ponadto 150 było ciężko rannych...”. Długosz, również współczesny i dobrze poinformowany, przemilcza wprawdzie brzydki postępek zwycięzców z krzyżackimi jeńcami (co prawda znając Krzyżaków można być pewnym, że każdy z nich rzetelnie zasługiwał na stryczek), ale za to podaje, iż wśród rannych był sam Dunin, który „odniósł ciężką, chociaż nie niebezpieczną ranę w rękę, prócz tego draśnięty był w udo przy

pełnięciu od strzału działowego zbroi”. Już to ówczesna broń palna wciąż jeszcze działała zgodnie z zasadą „dużo huk, mało skutku”! Nasz znakomity kronikarz opisuje ponadto jak to spychająca mniejszą jazdę polską licniejsza krzyżacka podstawiła swe skrzydło pod grad strzał polskich kuszników, jak została z pola spędzona i jak całość sił królewskich rozprawiła się wówczas krwawo z osamotnioną krzyżacką piechotą broniącą taborów nad jeziorem Rogoźnica. Jego wody stały się śmiertelną pułapką dla wielu nieszczęsnych piechurów, którzy jak wiemy w przeważającej części rekrutowali się z kaszubskich chłopów powołanych pod broń przez Nostitz. Wiemy też dzięki Długoszowi, że w taborze zakonnym było 200 wozów i 15 dział: wszystkie wpadły w ręce zwycięzców.

Zdawałoby się, że mając te informacje powinniśmy bez trudu odtworzyć przebieg bitwy świecińskiej i ustalić w terenie, gdzie rozegrał się jej najkrwawszy akt: zdo bycie krzyżackiego taboru. Wystarczyłoby po prostu dokładnie zbadać północny (przy legły do otwartego pola) brzeg jeziora. Nie jest to jednak bynajmniej takie proste. Archeolog bywa uzależniony od przeróżnych nieprzewidzianych czynników. Od pogody, poziomu wód, nawet od stanu i ro-

dżaju upraw na zamierzonym terenie swej pracy. Te wszystkie okoliczności sprawiły, że nie ukończyliśmy jeszcze wstępnych, przygotowawczych poszukiwań nad Rogoźnicą, której rozmiary mogły zresztą ulec niemałym zmianom w ciągu 400 lat dzielących nas od świecińskiego spotkania. Wierzymy, że uda się nam natrafić na ślady taboru, tym bardziej, iż jak znowu wynika z relacji Długosza osłaniały go z przodu „zasieki w postaci ostraków w żelazem umocnionych i opoalananych”. Gdzie jednak był ten przód? oczywiście od strony przeciwnika, to znaczy od strony wojsk królewskich. I tu właśnie niespodzianka! Na podstawie obu posiadanych relacji nie sposób ustalić z pewnością, w którym kierunku były zwrócone fronty obu walczących stron. Autorzy piszący dotychczas o Świecinie sądzili, że Dunin bił się czołem ku zachodowi, a Ravenek i Nostitz ku wschodowi, przy czym o Rogoźnicę opierał się mało prawe skrzydło Krzyżaków. Nasza, na miejscu przeprowadzona analiza terenu pozwala sądzić, iż mogło być akurat odwrotnie. Może przyszłe badania wyjaśnią tę bądź co bądź niebłąhą sprawę.

ANDRZEJ NADOLSKI

* tak nazywano żołnierzy piechoty
** tzn. zaciężnych Zakonu.

LAGER W Konstantynowie

Hanka nie wiedziała już, jak się obrócić, by choć na chwilę oddalić owo okropne uczucie zimna ciągnącego od cementowej posadzki. W ogólnym zgłębku nie zdawała sobie sprawy, że i sama mówi bardzo głośno. Razem z Celina, która też zakończyła naukę na trzeciej gimnazjalnej, doszukiwała się wspólnych znajomych.

— Jakoś to będzie — pocieszała Celina po raz nie wiedzieć który.

— No pewnie! Tatusi mówił o jednym takim, co kiedyś na Syberii urwał się z łazek i wrócił. A i z niemieckiej niewoli także wracali — skwapliwie poparła ją Hanka.

Zawsza dochodziły strzępy rozmów.

— Na moją komendę wyłonić mi tę wo-
de, abyśmy mogli przeżyć suchą nogą! — krzyczy Hitler z jednej strony kanału, a Churchill nie tylko się uśmiecha i powiada do Anglików: wv na moją komendę za raz mi żręć pietruchę! — opowiadała otyła blondyna w zielonym palcie.

— Hi! Hi! Hi! Bo po pietruszce się fest sika! — zawołała jedna ze słuchaczek na dowód, że pojęła strategię angielskiego przemiera.

— Oddajesz czy nie, ropucho, bo zakatrupię i na dupie nie siadiesz!

Wrzask był tak rozdierający, że wszystkie zamknęły.

— Mój Boże, że nie wzięłam! Niech skomam, że nie wzięłam! — pisała na końcu sali chudekła dziewczyna w kwiecistej chustce.

Hanka i Celina przyłączyły się do kręgu gapiów.

— Ażby ci ten chleb kółkiem stanął — wytrząsała nad dziewczyną pięściami babinka w kotłowym palcie.

Rozwścieczona chwyciła ją za kark. Hanka wraz z najbliższymi stoczyła się, aby je rozdzielić. Wtedy nie zauważony wpadł na salę lagerführer z pejem. Hanka poczuła nagłe jakby ktoś rozpalonym żelazem przypiekił jej szyję i plecy. Razy padały gęsto. Najwięcej dostało się tym, które znajdowały się na zewnątrz koła. Celina złapała się za policzek i zaczęła płakać. Na policzku widniała wiśniowa, wąska przeja. Tej, która mówiła o Hitlerze i Churchillu, z rozciętych ust ciekła krew.

Po wyjściu lagerführera na salę wkroczyło dwóch volksdeutscheów. Cmiąc zabany spacerowali między przykucniętymi kobietami.

— Żeby już nareszcie wywieźli nas z tego piekła! — westchnęła Hanka.

— Ja bym chciała do bauera — zwierzyła się ta z rozciętą wargą.

— Broń mnie Boże! — wzdrygnęła się na to Celina — nie cierpię gęsi, kaczek, naWozu! Tfu!

— Nie bój się, panienko! Dadzą panienkę do prania szwabskim żołdakom zafajdanych portawów!

— O żołnierzach, nawet niemieckich, nie trzeba się tak wyrażać! — pouczyła ją Hanka. — Wzieli ich, to muszą, jak to w wojsku, a zwłaszcza w czasie wojny. Na pewno woleliby w domu siedzieć.

— Patrzajcie! Znalazła się obrończyni zbrojów! — poróżniła jej pięścią kobietę w zniekształconym kapeluszu i jesiennej tego samego koloru.

— Obrończyni nie obrończyni, a pani się zamknij, bo tamci tylko na takie coś czekają! — Celina wybiła Hance z opresji, wskazawszy na przeciwny kąt sali.

Platynowa blondynka o dużych chabrowych oczach siedziała w kacie bez ruchu, skrzyżowawszy nogi po turecku. Oczy miała przynięte, zdawała się drzeć.

— Mój narzeczony — odezwała się nagle cieniem, niemal dziecięcym głosem — też poszedł na wojnę. W październiku mieliśmy się pobrać — dodała ciszej i znowu zamknęła oczy.

— Wrócił! — powiedziała Celina tak spokojnie jakby oznajmiała rzecz z góry przewidzianą. Na pewno dostał się do niewoli. Mój chłopak też jest w niewoli — Celina zwierzyła się Hance. — Powiadam ci, śliczny. Kasztanowe włosy i czarne oczy...

— Czy mógłbym posłuchać, o czym to tak panienki w wielkim sekrecie szepczą? — przystąpił tuż nad ich głowami jeden z volksdeutscheów. Miał nos zadarty, twarz dobroduszenie uśmiechniętą, ale oczy nieruchome i skupione jak u woszczonego wyża.

— Nie możemy się prosić pana, doczekać, kiedy nas wreszcie wywieżą do Niemiec. To podobno wspaniały kraj — powiedziała Hanka.

— O, tak! Wspaniały!

— Był pan tam!

Volksdeutsch zaważał się, a po chwili potraszając łysiną oświadczył:

— Naturalnie. I to nie jeden raz! Berlin, Rotterdam, Lichtenstein...

— To pewnie był pan i w Donnerstag, bo to niedaleko stamtąd? — spytała Hanka z niewinna miną.

Kiwnął potakująco głową.

Kobieta z rozciętą wargą powiedziała, gdy się oddalił:

— To jest ten, od którego dostałam w zeszłym tygodniu lachę bez łeb!

— Już tak jest na świecie... — zauważyła sentencjonalnie Celina.

Zdanie żywem wyjęte z ust matki — pomyślała Hanka. — Zawsze gdy nie umiała znaleźć odpowiedzi na jej niemądre pytania, tak właśnie odpowiadała. Teraz pewnie zalamuje ręce, tyka kowalską, jedną za drugą, i słucha plot Zytrowskiej. Kto jej teraz rabanke przywiezie, pojedzie na handel, skombinuje węgiel na żar?

Wbiła oczy w zarosłe brudem szybki fabrycznego okna. Co tam za drzewa rosną? Nie mogła poznać. Jakiś czarny ptak, na pewno gąpa, uderzył tak silnie w okno, jakby chciał strząść szybę i uwolnić je wszystkie... Dlaczego ja właśnie musiałam złapać, a nie Krystynę czy tę wstępną Irkę? Przestraszyła się tych myśli. Grzech tak myśleć! Ale...

— Oszalała! Bieczysz! Im w to graj! W kufak się śmieją z takich też! Im właśnie o to chodzi! Weź się w garść dziewczyno!

— Ja tylko tak... Na chwilę... Wiesz, miałam mamie zanosić bieliznę do magla...

— Ej, popatrz na tę rozkudlaną dziotkę. Zgroza bierzże patrzeć na fletucha! Kłaki w strąki, a to palto. Matko Boska Czesłochowska! Nie mała sobie zapocować!

— Phyl! Może nie potrafi, giv nawiec?

— Bywają teraz ludzie, którym się odechciewa nie tylko igit nawiec, ale i żyć — powiedziała siedząca po turecku blondyna.

— A dy by pani nie grzeszyła! Młoda kobieta, a głupoty gada — odrzekła, ta tamta z rozciętą wargą.

Blondyna znowu przykniecia oczy.

Janko to chociaż od razu z tego przeklepte go arbeitsamtu wywieźli do Niemiec! — pomyślała Hanka z zazdrością. Wszystkie gnaty bola, ciało świerbi, jeszcze jakieś robactwa dostanę. Żeby móc wyciągnąć się w swoim łóżku, choćby na jedną, jedyną noc! Kto teraz ojcu przytrzyma pasek do ostrzenia brzytwy?... Znowu się rozbecze i Celina zacznie mnie strofować.

Nagle rozległ się ryk lagerführera i świsł pejem, który poderwał je na nogi.

— Los! Do roboty! To nie kawiarnia! Jazda! Jazda! Czwórka do kuchni, marsz!

W kuchni przy długim stole kilka kobiet rytmicznie pochylało się nad brykami ciasta barwy cementu.

— O, ta flacha wałku! — Siwa kobieta podsunęła Hance litrową butelkę z żółtym osadem na dnie.

Ujęła butelkę w dłonie i usiłowała wygładzić nią ciasto, twarde jak wyschnięta gлина.

— O, jakieś paprochy, żdźbła — Celina podniosła do oczu jakby lupinę kartofli czy pora.

— Ludzie nie świnie, wszystko zjedzą — zachichotała któraś z kobiet.

Pierwszego dnia, kiedy je przywieźli do lagru, Hanka mimo głodu nie mogła nie przełknąć, ale już następnego, chociaż podobno któraś z kobiet widziała pływające po grochówce białe robaczki, zmioła wsty skto do czysta. Teraz też książki marsza jej graja i nie może doczekać się obiadu.

— Co tam jedzenie! Żeby tno Pan Bóg dał człowiekowi sily do przetrwania! — odezwała się siwa kobieta.

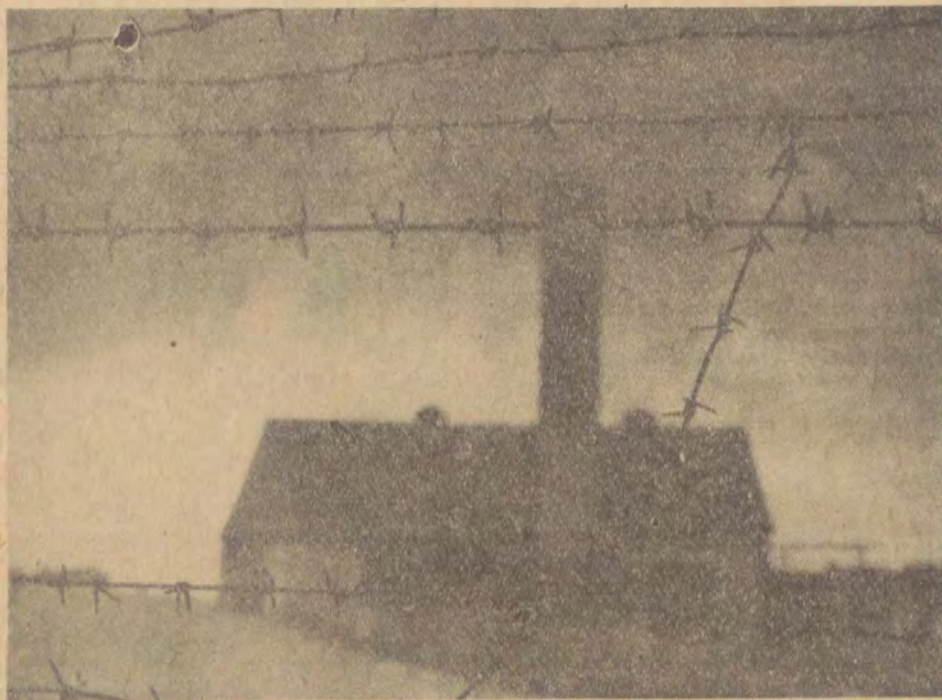
Hanka wlepiła wzrok w kąt sufitu. W sieci pajęczej, pokrytej kurzem, na próżno szukała pajaka. Kilka maleńkich zasuszonych muszek przypominało haftowane czar no kropki na walcie. Dostałam tutaj fioła na punkcie pajaków! Czy to nie początek czegoś niedobrego? — pomyślała z niepokojem.

— Proszę pani, o, proszę pani! — trąciła panią w czarnej sukni z broszką — Niech pani spojrzy tam przy tej bele! Prawda, że pajęczyna jest śliczna?

— Może i śliczna, moje dziecko, ale na obrazku.

Hanka zaczęła uderzać stopą o stopę. Znowu to rozpaczliwe uczucie zimna. Dziś rano udało jej się dobrnąć do studni, bezstannie obleganej przez setki osób. Grzejąc po kostki w bajorze, obmyła twarz, ale teraz nie mogła w żaden sposób rozgrzać nóg. Jej zamszowe buty, choć wyglądały na pierwszy rzut oka zupełnie porządnie, miały podeszwy na wylot dziurawe. Ukradkiem wysunęła z buta stopę. Z północzochy wyłaziły na wierzch czarne jak smoła palce.

W kuchni uleciło. Chrobot butelek po szorstkim cieście przypominał skrobienie myszy.



— To był człowiek, moja pani! Nie taki jak tamte inne szychy co to wzięły tytki w troki i hajda za granicę! — ocierając twarz dłonią upaśkana maka, mówiła kobieta w zielonym turbanie.

— Mój to płakał jak dziecko gdy on po raz ostatni przemawiał przez radio do war szawiaków... Gdyby więcej takich jak on było, to nie doszłoby do tego co jest — westchnęła kobieta w szarym kostiumie przybranym bagdadami.

Hanka zorientowała się, że mówią o zamordowanym prezydencie Starzyńskim.

— Naszego dawniejszego prezydenta, Rzewskiego, też zamordowali. Najpierw go więzili w Radogoszczu a potem wywieźli w luźmierskie lasy. Moja bratanica służy u jednego z tych radogoskich oprawców.

Po pijanemu to on o niejednym wygada.

— Szkoda prezydenta, był porządny człowiek. Dużo zrobił dla miasta a zarządzał miastem w ciężkim czasie! — westchnęła kobieta w czarnej sukni i niby poprawiając sobie włosy przeżegnała się nieznacznie, potem drżącym głosem dodała — Naszego biskupa Tomczaka też więzili. A ilu księży wywieźli do lagrów.

— A u pśs w Rudzie, zaraz koło Świętojańskiego, żeby panie słyszały, jakie stamtąd jęki dochodziły jak zrobili tam, gdy tylko nastali więzieni.

— Ja się dosyć napatrzyłam na Łakowej. Jeden Szwab, co nie cierpiał starych ludzi, specjalnie ich tłukł drucianym bykowcem.

Tak. Przywieźli tam jednego dnia te Rodziewiczównę, co książki pisała. Tylko że nie wiedzieli, że to ona. Ludziska znosili jej jedzenie i co tylko mieli, a ona nie je no w kółko powtarzała, żeby ją pochowano na Wołyniu...

Hance przypomniały się ostatnie imienniny. Dostała wtedy od Czeska „Strasznego dziadunia” z taką dedykacją: „Strasznego Hance, strasznego dziadunia od strasznego Czesława”. Zła była na Czeska za tę dedykację przez cały dzień, ale książka była ładna. Wcale mi się dziś nie śni! — pomyślała bez zdziwienia.

— Cui! — Celina zniżyła głos — Patrzcie, tej co gęby nie otworzyła, nie ma, Doniesie Szwabom, o czym rozmawialiśmy, i marny nasz los.

Zapanowała nagle cisza, słychać było tylko chrobot butelek po cieście i szep „Zdrowaś Maria” kobiety w czarnej sukni.

W drzwiach ukazał się rudzielec z drucianym bykowcem.

— Lenkowska! — ryknął na całe gardło.

Hanka drgnęła, nogi się pod nią ugęły i nie mogła z siebie wydusić słowa. Zza pleców lagerführera błysnęły złote loki dziewczyny o twarzy aniołka. — „Nie wolno pokazywać po sobie strachu” — przypominały jej się własne słowa, ale to nie pomogło.

— No, która to Lenkowska? Prenko! Prenko!

Obejrzała się bezradnie. Zdała sobie sprawę, że zwleknięcie nie ma sensu, więc podnosząc głowę powiedziała:

— To ja.

Kobiety przerwały wałkowanie ciasta. Bez ruchu wpatrywały się w Hankę. Celina błada jak płótno, otworzyła usta, jakby coś chciała powiedzieć.

Lagerführer rozkraczył się na wygiętych nogach, przez chwilę przerzucił bykowcem z ręki do ręki, potem świdrował Hankę ostrymi, burymi oczkami i nagle parsknął szyderczym śmiechem. Przypomniał jej białą z cyrku Staniewskich. Ni stąd ni zowąd, ku zdziwieniu zniechęconych kobiet i tym większemu przerażeniu siebie samej, roześmiał się nerwowo.

Niemiec jeszcze bardziej wybałuszyl oczy i zadziwiająco spokojnie oznajmiał:

— Du bist freil! Do swojej pana. Do roboty.

Zachwiała się.

— No, prenko, za mną! A wy tu prenko robicie! Schnell! — ryknął w stronę kobiet.

Zdały tylko podać Celinie swój adres. Celina powtórzyła go, kiwnęła głową, że zapamiętała, ale patrzyła na nią podejrzliwie.

Czemu one się nie cieszyły? — zastanawiała się, maszerując z Niemcem do kancelarii. — Patrzyły na mnie jak na zapowietrzoną.

Nie miała ani feniga przy duszy, ale nie przerażała jej pieszka wędrowka do samej Łodzi. Nie czuła głodu, choć od ostatniego posiłku, tego niby śniadania, minęło ponad siedem godzin. Szła szpalerem złotych i amarantowych drzew i głęboko wdychała jesienne powietrze. Od granicy miasta prawie biegła. Pot spływał jej po twarzy i mieszał się ze łzami.

(Fragm. powieści pt. „Lekcje więcej nie będzie”).

GEWORG EMIN

Geworg Emin — jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów armejskich urodził się w 1919 roku we wsi Asztarak. Jego ojciec był nauczycielem. Emin studiował na politechnice w Erewaniu, a następnie w Instytucie Literackim im. Gorkiego w Moskwie. W latach 1942 — 44 walczył w szeregach Czerwonej Armii. Od wielu lat jest stałym współpracownikiem „Literaturnoj Gazety”. Od 1940 roku ukazują się tomiki jego wierszy, które tłuma-

czono były na wiele języków europejskich. Ostatnio ukazał się również wydany przez PIW tomik jego wierszy po polsku. Obecnie Geworg Emin przebywa w Polsce. Przez kilka dni gościł również i w Łodzi w czasie II Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji. Opracowywana przez Geworga Emina dwutomowa antologia poezji polskiej ma ukazać się w Armenii.

R.G.

STARE DRZEWO

Mnie na świecie jeszcze nie było,
a tyś już rosło,
stare drzewo!
Tyś słyszało mój pierwszy płacz.
I pamiętasz łzy,
pamiętasz, drzewo?
Jesteś przyjacielem moich zabaw.
Tyle szczęścia mnie wtedy spotkało,
kiedy chowałem się w tobie.
Jeden z wielu świadków —
ta oto gałąź wysoka:
nierz z niej spadałem.
Tyś wiele w życiu widziało,
ale nie wydajesz moich tajemnic,
bo liście milczą...
Dwie litery (oh, te dwa znaki!)
wyciałem na twojej gałęzi,
pograżony w miłosnym smutku...
Nie wiem gdzie skończy się mój czas,
ale bez względu na to gdzie się skończy —
wierzę, że —
Chociaż jeden z twoich żółknących liści
do mnie doleci,
doleci na pewno...

CZŁOWIEK

Kto jest silniejszy od człowieka,
Kto jest słabszy, powiedz.
Człowiek ziemskie przekroczył granice,
Groźny atom rozbroił, ale
Sam pozostał taki, jak delikatne naczynie.
On rozbija gigantyczne skały,
A niewielka kula go zabija,
I niewidoczna kula — złe słowo...
Nie porównuj człowieka z jaszczurką —
Odeńiesz jej ogon — odrótnie...
Kto jest silniejszy od człowieka,
Kto jest słabszy?
To on — naczynie delikatne,
Przezroczyste, kruche.
To on — bogów na sąd przyzywa
I występuje przeciw nim.
Nie boi się mieczy i wszystkiego
Co mu przeszkadza zdobywać wszechświat.
Z drzemającej pieczary wyruszył w stronę gwiazd.
Idzie po ludzkie szczęście
Poprzez cierpienia.

Tłumaczył ROMAN GORZELSKI

TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ

„KTOŚ NOWY” to nie tyle nowy, co jeszcze niezbyt znany i opisany problem. Teatr Ziemi Łódzkiej biorąc tę sztukę na warsztat zdawał chyba sobie sprawę z aktualności i żywości tego problemu.

Jest to sztuka, która została już pokazana w Łodzi przez Teatr Powszechny, a jej eksport do prowincji, szczególnie tej uprzemysłowionej, jest ze wszech miar słuszny.

Marek Domański nie daje wprawdzie wzorów do naśladowania ani dosłownych rozwiązań, tudzież czystych w bohaterstwie typów, ale konflikt i pewna charakterystyczność postaw nasuwa się wiele konkretnych skojarzeń dając dużo do myślenia.

Teatr Ziemi Łódzkiej pokazał spektakl, który podobał się nie tylko niżej podpisanemu. Jest to o tyle ważne, że teatr ten to jedyna rodzima scena, która powinna sprawdzać się poprzez szerokie odbiorę, nie gubiąc jednocześnie walorów sceny z prawdziwego zdarzenia. Jak widać można dobrać odpowiedni utwór i wystawić go w sposób komunikatywny, nie idąc na łatwiznę i schlebienie złym gustom.

Konflikt Karola Kukuły, wicedyrektora fabryki jest charakterystyczny i nie można powiedzieć, że tylko dla lat ubiegłych. Dziś także w różnych mutacjach można go w wielu zakładach i instytucjach wyśledzić. Konflikt wicedyrektora zakładu, bezkompromisowego realizatora postępu technicznego, racjonalizatora i wynalazcy z bez mała całą załogą jest pokazany skrajnie i w wystrzonej postaci. Jest on o tyle typowy (konflikt), że dotyczy pewnych prawidłowości rozwojowych współczesnej techniki, ekonomii i administracji, zaś o tyle charakterystyczny, że postać Kukuły jest raczej wyjątkowa.

„Ktoś nowy”, to także coś nowego i pozytywnego w interpretacji wybujałej indywidualności Kukuły. Generalnie pozytyw jego działalności, a także styl obcowania z ludźmi, wywołują sprzeciw i opór wśród bardzo typowo narysowanych postaci dramatu. Byłoby to dramat postaw w czystym kształcie, gdyby nie schemat socjologiczny, którego kontynuacja sceniczna ma walor społeczny.

Aleksander Benzak w roli Kukuły jest swobodny i dobrze przylega do nie tak znowu codziennego modelu człowieka z rozmachem nowatorsko-organizacyjnym. Zderzenia są nieuniknione, tym bardziej, że Kukuła nie z tych, którzy grzeszą umiejętnością współżycia z ludźmi; on łamie nawet beztrudno kanony moralności w sprawach „męsko-damskich”.

Eugeniusz Rawski jako Daciak, dyrektor fabryki, to postać ze wszech miar pozytywna, prawie niezmienna, pozbawiona zawiści, oportunistów i stroniczości. Rawski nie podnieca się swoją „świętością”, nie emulując nieskazitelności — jest jak każdy prawy i mądry człowiek w umiarkowany sposób pewien swoich poczynań. Jego zasługa (Dyrektora), że ktoś nowy może w ogóle egzystować i jego zasługa, że wicedyrektor będzie egzystował (?) mimo wielu „prywatnych” wad.

Hanna Filipczakówna, kreślarka w interpretacji Jadwigi Siennickiej (gościnnie) jest z tych rozumiejących — sercem — na których mogą się oprzeć „szaleńcy współczesności”. Siennicka gra raczej rozumem niż dźwiękiem, że chce się wierzyć. A może to właśnie tędy droga?

Nieco przesadna w ciążeniu ku farsie była Jadwiga Derżyńska w roli — chyba jednak na fraszkowych stereotypach opartej — Pani Zofii, sekretarki.

Aż nazbyt typowa Gerszowa, kierowniczką stołówki, znalazła wdzięczną odtwórczynię w osobie Leokadii Jurdzińskiej.

Eugenia Korska w roli Alkiewiczowej, personalnej; Sławomir Mateczak, (dobry) w roli Filipczaka majstra; Remigiusz Rogacki, jako Tekliński, inżynier; Henryk Dudziński, jako Możajski, przedstawiciel Sam. Rob. i ZZ.; Tadeusz Trygubowicz, w roli Zawadzki, robotnika, to byli ci, którzy uwierzyli w prawdziwość gry prawdziwość reakcji fabrycznej zbiorowości.

Nieco odmiennie ma się sprawa z „KAMERDYNEM” (James Matthew Barrie).

Jeżeli nawet założyć, że jest to sztuka zabawna, to jej „próchnica” problemowa nie świeci nawet światłem odbitym. Komunali wychowawcze przez zaprzeczanie sobie tracą i tak już wątpliwy walor dramatycznego przekonania.

Naiwna i niekonsekwentna pouczanka, typowa dla okresu socjalizmu utopijnego. „Jak nowy, wspaniały świat, to tylko na wyspie, gdzie jeszcze nie dotarła cywilizacja; tu zaczynając wszystko metodą Robinsona ujawnia się wreszcie prawdziwe wartości człowieka niezależnie od jego stanu i pochodzenia. W warunkach świata realnego nic nie da się zmienić. Nawet genialny (na wyspie) Kamerdyner (Włodzimierz Tympalski) musi wrócić do Anglii i do dawnego życia, gdyż w gruncie rzeczy nie widzi on innego wyjścia i innego podziału niż na uprzywilejowanych i uciskanych.

Jest coś żenującego i zarazem wstydliwego zarówno w tym, że nagle Kamerdyner upaja się wszystkim, co przedtem go upokarzało jak i w tym, że tak szybko i bez buntu rezygnuje ze wszystkiego, co stało się na wyspie jego ludzką wartością.

Z „Kamerdynera” wypływa mniej więcej taka nauka: o wartości człowieka powinny stanowić jego praca, zdolności i charakter, a nie urodzenie lub piastowane godności; jednakże człowiek jest zbyt słaby, by przeciwstawić się złu panującemu w świecie i nie może w związku z tym ujawniać swojej osobowości bezkarnie.

Idea sztuki dość problematyczna, przewód psychologiczny dość wątpliwy, dydaktyka dość mętna.

Obsada: Jerzy Staszewski (lord Leam); Barbara Olszańska (Mary); Alina Jurkowska (Katarzyna); Stefan Mienicki (Ernest Woolley); Czesław Górka (John Treherne); Walenty Sakkilari (Lady Brocklehurst); Włodzimierz Tympalski (Crichton, majordomus); Maria Niedźwiecka (Nosia); Danuta Cwynarówna (Fisher). Scenografia: Jerzy Groszang.

R. L.

Marek Domański, „Ktoś nowy”. Reżyseria Aniela Boryłowska. Scenografia: Antoni Bystron. Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej. James Matthew Barrie, „Kamerdyner”. Reżyseria: Ryszard Sobolewski. Scenografia: Jerzy Groszang. Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej.

JAN KOPROWSKI

Wańkowicz — kucharz doskonały

Istnieje rozpowszechniony pogląd, że przesiąknięty poziom literatury jest dzisiaj wyższy, niż kiedykolwiek przedtem, co ma oznaczać wzrost rzemiosła literackiego i spotęgowaną sprawność w operowaniu piórem. Znam nawet krytyka, który twierdzi: umiejętność pisania jest obecnie tak wielka, że bardzo trudno odbić się od tego wysokiego przeciętnego poziomu i stąd pisarzy dobrych dużo, ale geniuszów brak.

Zapewne wszystko to prawda. Ogólny postęp na świecie musiał przynieść ze sobą również postęp w sztuce i literaturze. Więc pisarze piszą coraz lepiej w tym sensie, że wypracowują coraz oryginalniejsze środki wyrazu artystycznego. Ale jednocześnie obumierają pewne sposoby i rodzaje wypowiedzi literackiej. Na przykład: umiera gawęda, umiera umiejętność snuć narracji. Jednym z ostatnich lub może w ogóle ostatnich gawędziarzy jest u nas Melchior Wańkowicz. Twierdzi z całym przekonaniem, że nie ma u nas nikogo, kto by sprostał Wańkowiczowi w gawędziarstwie. Jeszcze jednym dowodem na to jest najnowsza książka tego autora.¹⁾

W tym, co pisze Wańkowicz, nie czuje się wysiłku. To tak jakby ktoś trzymał cię za guzik od marynarki i opowiadał niesłychanie frapującą historię. Albo dzielił się swoimi bogatymi obserwacjami przy kawie. Albo snuł barwne wspomnienia przy kominu. Interesując, prosto, z humorem, niekiedy — z żęką. Różne powieści kłódy czy może napisał gdzieś, że człowiek, którego pisanie męczy, zdradza u siebie brak talentu. Trzeba by zmodyfikować Rilkowskie powiedzenie: jeśli czytanie nas męczy, sygnalizuje, że coś się pisarzu nie całkiem udało. Nie wiem, czy Wańkowicz męczy się pisząc, czy nie. Wiem na-

tomiast, że czyta się go z prawdziwą przyjemnością, z rozkoszą. A z tego wynika, że i on musi mieć przyjemność w pisaniu, że spisywanie przerozmaitych historii, wydarzeń i spotkań z ludźmi sprawia mu nie byle jaką radość.

„Zupa na gwoździu” zawiera 118 (słownie: sto osiemnaście) gawęd — felietonów, podzielonych na siedem działów i poprzedzonych „Wstępkiem z żęką”. A oto tytuły owych siedmiu części: 1) U nas i po świecie, 2) Na obczyźnie, 3) Haus Coca-Cola, 4) Polonia, 5) Popieknoduszmy, 6) Szkuła żalów i 7) Dookoła kobiety. Jeżeli chodzi o rozpiętość czasową, to najwcześniejszy felieton, zamieszczony w tej książce, pochodzi z 1930, a najpóźniejszy z 1964 roku. A pisane były one w Bukareszcie, Jerozolimie, na miejscu postoju w Antylibanie, Bagdadzie, Tel-Awiewie, Paryżu, Londynie, Nowym Jorku, Toronto, Rzymie, Krakowie, no i oczywiście w przed- i powojennej Warszawie. Czym się ten Wańkowicz nie interesował, z kim nie spotykał, o czym nie rozmawiał? Losy emigrantów, walki byków, żołnierskie tułaczki, wojna i okupacja, dzieci i dorośli, literatura i polityka, zwyczaj i obyczaj, Polacy i świat, Ameryka i Polska — oto bardzo niepełny rejestr tematów, poruszanych w „Zupie na gwoździu”. A jak opowiedzianych! Z pysznym humorem, z komicznymi w gawędzie dygresjami (coż znaczy gawęda bez dygresji), z przypomnieniem historycznym i zawsze odpowiednią anegdotą, która ubarwia i okrasza Wańkowiczowskie opowiesci.

Ala myliłby się ten, kto by chciał zakwalifikować „Zupę na gwoździu” do książki całkiem lekkiego kalibru. Niech was nie zwodzą lekkość i humor. Powiedzieć oś prostą i zwyczajnie, a do

tego z humorem, nie znaczy jeszcze — ślizgać się po wierzchu. Można przecież lekko i mądrze, tak jak można ciężko i głupio. Oczywiście piszące te słowa najbardziej zainteresowały te gawędy, w których Wańkowicz pisze o literaturze i pisarzach lub zastanawia się, czym są Polacy jako naród, jakie wyróżniają ich znaki i jakie przywary. „Świat nas, co tu gadać, nie lubi” — napisze autor w dłuższej gawędzie i malej rozprawce, ale zarazem rozprawi się ze światem, przypomni, że kiedy ten świat „tonął w grubej barbarii, nasz przywilej czerwinski w 1422 r. zabraniał konfliktu bez wyroku sądowego”. Mówiąc własnie zwyczajnie i po prostu: nie wyskoczyliśmy sroce spod ogona. Przeczytajcie tę gawędę pod tytułem „Sanitariusz robi trumnę...”, a przekonacie się, że za tymi barwnymi opowieściami, anegdotami, kalamburami kryją się ważne sprawy, że Wańkowiczowi chodzi nie tylko o to, aby rozśmieszyć, ale także, a może nawet przede wszystkim, żeby wzruszyć i zmusić do przemyśleń spraw niby znanych, a przecież wciąż odkrywanych na nowo. Pyszna jest odprawa, dana Zygmuntovi Nowakowskiemu za jego płaskie i głupkawe napaści na Zofię Kossak, świetne jest króciutkie wspomnienie o Broniewskim albo dywagacje na temat Żeromskiego.

Osobno trzeba by napisać o języku Wańkowicza. Pamiętacie jak przełożył on angielskie wishful thinking na polski? Jako chęćstwo. A jego nowotwór „popieknoduszmy”. A ta zabawa w słowa: „szczypta soli, szczypta cukru — nie szczypta dziewczynki”. Sam autor, pisząc o języku ulicy i języku literackim, taką wyciąga konkluzję: „Niechże istnieją te dwa języki — anoda i katoda. I niech przez tkwiące między nimi tworzywo literackie płynnie pobudzający prąd”. Soczystość, rubasność, różnorodność, i bogactwo Wańkowiczowskiej polszczyzny każą się zastanowić, czy nasza współczesna literatura nie zaubożyła jednak języka. Wniosek? Melchior Wańkowicz, który ugotował smaczną „Zupę na gwoździu”, jest zaiste kucharzem doskonałym.

¹⁾ Melchior Wańkowicz: „Zupa na gwoździu”, Instytut Wydawniczy „Pax”, Warszawa, 1967 r.

SŁAWOMIR ŚWIONTEK

POEZJA ROMANA ŁOBODY

W jednym z wierszy Romana Łobody, zawartym w wydanym ostatnio tomiku poetyckim tego autora¹⁾, znajdujemy swoiste wyznaczenie:

O jakże okrutnie boli
to ciągle patrzeć

(POŁOŻENIE)

Wyznanie to znajduje się w zakończeniu utworu, a całość je poprzedzająca jest opisem pewnej sytuacji pretendującej do miana obrazu metafizycznego, opisanego jednak językiem świadomości odpowiadającym, konkretnym, niemal potocznym. Poszczególne etapy rozwoju tej sytuacji rozdziela autor powtarzającym się jak refren stwierdzeniem podmiotu lirycznego: „Patrz”. I w konsekwencji: „O jakże okrutnie boli (to ciągle patrzeć)!”.

W wierszu „Położenie” stara się Łoboda określić swoją pozycję jako twórcy wobec świata, jaki mu przyszło opisywać. Świata rzeczywistego, który tworzą dla za zadanie uczynić światem swojej twórczości. Paradoxa aktu twórczego zdaje się polegać na tym, że trzeba opisać świat, trzeba go określić z pozycji widza, „patrzającego”, będąc jednocześnie tego świata częścią, jego elementem nie zawsze zresztą najważniejszym. Uświadomienie sobie tego paradoksu, uświadomienie aż do konkretnego niemal odczucia absurdalności takiego stanu rzeczy — jest

faktem w zasadniczy sposób wazącym na twórczości lirycznej Łobody. Wychodząc z takich przesłanek poeta musi dać świadectwo ograniczenia własnych możliwości jako twórcy; poezja zaś powinna być aktem świadczącym o tym ograniczeniu. Poeta nie jest demiurgenem stwarzającym nową rzeczywistość, lecz tylko osobnikiem powołanym do dania świadectwa tej rzeczywistości, która go przeraża i której jest tylko elementem. Jest to właściwie postawa różewiczowska (stałaby zbieżnością warsztatowe w poezji Różewicza i Łobody), z tym, że źródła takiej postawy są u obydwu autorów różne: u twórcy „Niepokoju” podłożem jest moralistyczna koncepcja świata, u Łobody — przemysłowa estetyczna.

W świetle tych uwag staje się rzeczą oczywistą, że poezje Łobody ustawić można w opozycji do twórczości tych autorów, którzy traktują pisarstwo jako możliwość poszerzania granic naszego poznania i świata, otaczającego człowieka. Nie więc dziwnego, że jeden z wierszy, zawartych w omawianym tomiku, dedykuje Łoboda „Zbięgnięciemu Bieńkowskiemu i przeciw Niemcu”. Charakterystyczna dla wierszy Bieńkowskiego perspektywa metafizyczna jest obca Łódzkiemu poecie. Możliwość bezpośredniego przejścia od doznań zmysłowych na płaszczyznę metafizyczną dla Łobody nie istnieje. Tak więc, gdy Bieńkowski mówi: „Rece miały wówczas równe szanse jak i oczy, by być dalekosieżne”, to Łoboda w wierszu dedykowanym twórcy „Sprawy wyobraźni” zajmuje stanowisko plemienne:

„Rozumił mnie
mówił nitka światła
jestem dotykana
lecz ręce masz nieporadne

i wierzysz tylko w układy
wielkie odbite
w tobie

(...) zmysły
rozpięte nieporadnie
wybiła stołce”.

(LICZENIE PIASKU)

Minimalistyczna postawa autora „Okragłego snu” znajduje swój wyraz w charakterze języka tych wierszy. Jest to język „apoetycki”: szorstki, ascetyczny, czasami nawet świadomie niepoprawny. Skoro niemożliwością jest zapis świata jako całości, aby uniknąć fałszu, opisać można jedynie jego poszczególne fragmenty, i temu służyć ma podobny język. Wiersz staje się u Łobody niejednokrotnie strukturą mającą dać wyraz temu, co z natury rzeczy strukturą nie jest. Przeciwnie paradoksalności takiej sytuacji sprawia, iż każdy utwór zdaje się być peryfrazą tego paradoksu. Im bardziej przeżyte to jest autentyczne, tym silniejszą wartość poznawczą posiada utwór.

Istnieje jednak możliwość, że założenie jest błędne, że punkt wyjścia był fałszywy. Twórczość staje się wówczas jedynie zabawą w słowa, collage'em, którego każdy element znaczy niewiele więcej niż znaczny poza kontekstem, w który został włożony. Słowo w wierszu, zamiast zyskiwać na znaczeniu poprzez sąsiedztwo innych słów, oznacza jedynie to, co oznaczało w systemie języka naturalnego, skąd zostało przez autora wyrwane. Wówczas pozostaje tylko modlitwa do trzech — modnych dziś — „poetyckich bożków”: drzewa, powietrza i mięsa.

Ala:
Panowie bożkowie są skłóceni
Może by tak ustać i pójść sobie
(ECCE HOMO).

¹⁾ Roman Łoboda: „Okragły sen”. Łódź 1967, Wydawnictwo Łódzkie.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

PABLO PICASSO - DRAMATURGIEM

Jeszcze w końcu pierwszej dekady lipca francuska prasa zapowiadała, że festiwal w Saint-Tropez zainauguruje sztuka pt. „Pożądanie schwymane za ogon”, której autorem jest wielki malarz, Pablo Picasso. Festiwal miał się rozpocząć 13 lipca i trwać do 4 września.

Wkrótce jednak okazało się, że władze miejscowe w Saint-Tropez nie pozwalają na wystawienie sztuki Picassa dopóki nie zostanie ona dopracowana, zbyt drastycznych scen.



Sceny ze sztuki „Pożądanie schwymane za ogon”.

Sztuka uznana za skandaliczną w oczach przedstawicieli władz Saint-Tropez nie wywołała bynajmniej zgorszenia wśród statecznych widzów w Lozannie. Zespół z Lozany przybył do Francji i obecnie „Pożądanie” grane jest równocześnie przez dwa zespoły teatralne, jeden pod kierownictwem Jean-Jacquesa Lebelu w Gassin (ten właśnie zespół miał wystąpić na festiwalu) i przez lozańską trupę w Beaux-de-Provence.

„Pożądanie schwymane

za ogon” napisał Picasso w ciągu czterech dni w styczniu 1941 roku. Recenzentka „Les lettres françaises” widziała „Pożądanie”, nie podejmuje się jednak ani streszczenia akcji sztuki, ani jej analizy. I jedno i drugie nie jest możliwe. Przecież natomiast m. in. to co powiedział do widzów jeden ze znakomych reżyserów, tuż przed odsłonięciem kurtyny: „Picasso, autorem dramatycznym! Oto zachwycenie w stosunku do autorów z zawodu. Dla nas ludzi teatru to bajeczna odskocznia, która otwiera perspektywę marzeniu i szaleństwu, rozbija ob-

ZMARŁ WYBITNY POETA AMERYKANSKI

Wybitny poeta Ameryki Północnej, biograf prezydenta Lincoln, Carl Sandburg zmarł na swej farmie w Flat Rock (Północna Karolina).

Carl August Sandburg urodził się 6 stycznia 1878 r. w Galesburgu (Stan Illinois). Był synem szwedzkiego robotnika i rolnika. Pracował w wielu i różnych zawodach. Od młodości służył idea-



Carl Sandburg

lom socjalistycznym. Wcześniej też rozpoczął swą twórczość poetycką. W wierszach i poematach odzwierciedlał los i dążenia prostych, ciężko pracujących ludzi. Sandburg zdobył sobie uznanie i sławę „Wierszami z Chicago”. Inny zbiór wierszy pt. „The People Yes” (Lud, tak jest) w których zawarł wiele elementów folkloru był jego poetyckim credo poświęconym klasie robotniczej. Jednym z najznakomitszych dzieł Sandburga jest sześciotomowa biografia Abrahama Lincoln. Zaczął ją pisać w roku 1940 i kontynuował tę pracę przez wiele długich lat. Otrzymał za swe dzieło nagrodę Pulitzerza.

Carl August Sandburg wywarł znaczny wpływ na proletariacko-rewolucyjnych poetów lat trzydziestych.

STO LAT TEMU URODZIŁ SIĘ PIRANDELLO

Napisał 39 sztuk teatralnych, ponad dwieście opowiadań, osiem powieści. Został laureatem na-

grody Nobla w 1934 roku.

Luigi Pirandello urodził się 28 czerwca 1867 roku w Agrigento na Sycylii. Studiował filologię i historię literatury na uniwersytetach w Palermo, Rzymie i Bonn. Był tu przez rok lektorem języka włoskiego. Wrócił następnie do Rzymu. Od roku 1897 wykładał w seminarium nauczycielskim. W roku 1925 założył własny teatr.

Był przedstawicielem tzw. weryzmu, który był włoskim kierunkiem literackim (i nie tylko literackim) odpowiadającym francuskiemu naturalizmowi. (Do głównych reprezentantów weryzmu należą: E. Palazzi i G. Verga, w muzyce — P. Mascagni, R. Leoncavallo i G. Puccini).

Sławę światową osiągnął Pirandello dzięki swej twórczości dramatycznej. Wyjątkowym uznaniem cieszy się do dziś jego sztuka pt. „Sei personaggi in cerca d'autore”. (Sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora).

Setna rocznica urodzin wybitnego włoskiego dramaturga jest obchodzona nie tylko w ojczyźnie Pirandella, ale i we Francji. Teatr, radio, telewizja, prasa przypominają twórczość Pirandella i znaczenie tej twórczości dla rozwoju francuskiego i światowego teatru. Paryski dziennik „Le Figaro” pisze: „Teatr Pirandella dał scenie francuskiej i wszystkim scenom świata no-



Luigi Pirandello

we spojrzenie psychologiczne. Był to wybuch talentu wyrosłego w ogniu osobistych doświadczeń. Pirandello żonaty z kobietą o chorobliwej zazdrości i więcej niż

na pół szalona, uważał za swój obowiązek uleczenie lub przynajmniej uspokojenie, tej w gruncie rzeczy nieuleczalnie chorej kobiety. Godził się na ograniczenia, które mu narzucała, znosił jej zarzuty, że jest zwykłym donżuanem, co zresztą zupełnie nie było zgodne z jego naturą (przez szereg lat był wzorowym pedagogiem), ale w miarę trwania tych zarzutów zaczynał wreszcie sam wątpić czy jest tym kim jest”.

„Z roku na rok dzieł Benjaminowi Crémieux, jego przyjacielowi i przekładowcy, odkrywamy wielkość Pirandella, tę wielkość, do której on sam odnosił się z taką wielką skromnością” — pisze „Le Figaro”. „Ci co go znali stwierdzają, że był to człowiek o niezwykle słodkim charakterze i łagodności”.

Był zmęczony życiem. W roku 1936, przed swą śmiercią prosił, aby o jego zgonie nie zawiadamiano prasy, nie urządzano żadnych uroczystości pogrzebowych i aby nawet nikt nie wchodził

do pokoju, gdzie leżał, będą jego zwłoki. „Samotność, milczenie, spokój” — oto czego pragnął.

EKRANIZACJA „L'ASTRAGALE”

W n-rze 39 naszego pisma podaliśmy notatkę o śmierci Albertyny Sarrazin, autorki m. in. autobiograficznej powieści pt. „L'Astragale” (tytuł to nazwa kości stopy). Autorka złamała astragal skacząc z wieziennego muru. Reżyser francuski Norbert Carbonnaux już jakiś czas temu zdecydował się na ekranizację powieści. Scenariusz miał powstać przy współpracy Albertyny. Główną rolę w filmie miała grać Francoise Dorléac. Albertyna zmarła w czasie szpitalnej operacji, Dorléac zginęła w wypadku drogowym. Reżyser nie zrezygnował jednak z filmu. Obecnie pracuje nad scenariuszem w czym pomaga mu mąż zmarłej pisarki, Julian Sarrazin. Główną rolę zagra zdaje się Anna Karina, ale Carbonnaux nie jest jeszcze zdecydowany.



Fernand Léger: Kompozycja z ptakami. W Baden-Baden w Niemczech zach. otwarto wystawę około stu dzieł Fernanda Légera (1881—1955). Są tu jego obrazy, rysunki i gwasze. Ekspozycja na tę wystawę wypożyczyła wdowa po artyście, Nadia Léger z Muzeum Légera w Biot we Francji.

POLONICA

CZESKIE POLONICA

Ostrawskie „Slovo Ludu” z dnia 14 marca br. przynosi omówienie 14 tomu „Nowego Korbuta”, który niedawno ukaż się nakładem PIW.

Oczywiście, mieszkańcy CSRS szukają w nim przede wszystkim wzniętek dotyczących Ziemi Cieszyńskiej, tożę pamiętnikarstwo Jerzemu Gajdycy, autor artykułu poświęcił sporo miejsca.

Ten sam dziennik zamieścił także wiadomość o ukazaniu się na łamach marcowego „Cerveného Květu” sztuki S. Grochowiaka „Ten dialog nad grobem niemieńca” i W. Przeczki „Henio”, ponadto informację o rozpoczęciu w praskim kinie „U hra-deb” Tygodnia Filmu Polskiego.

KLUB PRZYJACIÓŁ TEATRU POLSKIEGO W CSRS

Jak podaje ČTK w dniu 10 marca br. powstał w Pradze przy Czechosłowackim Instytucie Teatralnym Klub Przyjaciół Teatru Polskiego. Działalność tego Klubu ma być w najbliższym czasie rozszerzona na całą Czechosłowację.

Na uroczystym spotkaniu inauguracyjnym byli obecni członkowie przedstawieli teatru, nauki oraz tłumacze. Byli również goście z Polski m. in. Kazimierz Dejmek, aktorzy z Teatru Narodowego i przedstawiciele naszej ambasady w Pradze.

Założeniem nowo powstałego Klubu jest rozwijanie tradycyjnych związków i kontaktów z teatrami polskimi.

LITWA CZCI ROCZNICE WIELKICH POLAKÓW

Wileński „Czerwony Sztandar” od lat prowadzi b. ciekawą rubrykę, poświęconą rocznicom wielkich ludzi.

W jednym ze swych ostatnich numerów (12 marca br.) znalazły się aż trzy wzmianki dotyczące Polaków. I tak, mówiąc o 60 rocznicy urodzin St. R. Dobrowolskiego, redakcja przypomina czytelnikom, że ten znakomity poeta łączy w swej twórczości aktualną problematykę społeczną z rewolucyjnymi tradycjami proletariatu.

Pisząc o 80 rocznicy urodzin Leona Schillera, wybitnego reżysera, dziennik przypomina sukcesy, jakie odniósł, wystawiając „Juliusza Cezara”, „Burzę”, „Dziadów” i „Kordiana”. „Jego działalność — pisze komentator — stanowi epokę w polskim życiu teatralnym”.

Równie ciepło została potraktowana 80 rocznica śmierci J. I. Krasińskiego, który był „jedną z wybitnych postaci literatury europejskiej XIX w.”

JAN HUSZCZA W WIEDNIU

Wychodzący w Wiedniu dziennik „Die Volksstimme” przynosi w dodatku sobotnim (z 22 lipca br.) humoreskę Jana Huszczy pt. „Einbrecher” (Włamywacz). Humoreska jest zabawna i dobrze przełożona przez Bożenę Lewandowską. Dodajmy, że w tym samym numerze znajduje się jeszcze: artykuł Macieja Bielickiego „Polska w pierwszej dekadzie” oraz recenzja występow Barbary Nieman i Bernarda Ładysza w wiedeńskim Pałacu Schwarzenberga.

POLONICA

str. 9

ADAM NONAS

„Tańczący Ogień”

Ten frapujący, nieco w młodopolskim utrzymaniu tytuł, nosił jedyny numer pierwszego w Łodzi w okresie międzywojennym czasopisma literackiego. W swych zamierzeniach miało być poświęcone „sztuce i wszystkiemu co z nią związane”, nawiązywać z jednej strony do tradycji Młodej Polski, a z drugiej propagować nowe prądy. Na pierwszej stronie pisma znalazło się motto, zaczerpnięte z Norwida „A zle i dobre miną... wezmą nowe” oraz maksyma Leonarda da Vinci „Zły to uczeń, co nie przewyższa mistrza”.

„Tańczący Ogień” ukazał się w 1920 r. jesz-

cze przed „Skamandrem” i był swego rodzaju próbą możliwości tworzenia grupy. Kazimierz Wierzyński drukuje tu wiersz „Ja”, Julian Tuwim „Pijaństwo”, Antoni Słonimski „Zwycięcy” i „Sonet”, wreszcie Jan Lechoń po raz pierwszy publikuje swój poemat „Mochnacki”. Obok nich widzimy utwory poetów łódzkich.

Na szczególną uwagę zasługuje bardzo utalentowany, lecz niestety zmarły w młodym wieku, poeta Aleksander Kraśnianski. W piśmie za miesiąc jeden ze swych najlepszych wierszy „Artystom”, oddając hołd braci artystycznej, biednej i dumnej, noszącej

w głębi serca marzenia o sławie i zmuszonej nędzą do sprzedaży za marne grosze swych wybitnych dzieł. Oprócz tego wiersza znajdujemy jeszcze dwa inne utwory Kraśnianskiego: „Ręce” i „Nie wiecie o tym nie”. Całości poetyckiej zawartości „Tańczącego Ognia” dopełniają wiersze Mieczysława Brauna „Taniec” i „Golem” oraz redaktora pisma Henryka Plochockiego „Rozstanie”.

Na łamach pisma znalazły się także cztery pozycje pisane prozą „Impromptu Chopina” F. Halperna, opowiadanie Marii Stagińskiej „W celi”, rozważania Ale Wolnego „Myśl wolna” i przekład z portugalskiego „Paweł Weronez i inkwizycja” Brito Arachny. Numer zamyka kolumna redakcyjna „Czas i my”. Omówiono tam tomik poezji Kazimierza Wierzyńskiego

go „Wiosna i wino” i oceniono go bardzo wysoko. Kilka słów poświęcono śmierci Wilhelma Feldmana, przypominając jego zasługi dla literatury. Dość ostro potraktowano „Oktostychy” J. Iwaszkiewicza, zarzucając mu monotonię, brak dynamiki, przewagę stylu nad treścią.

Pismo zamierzało także organizować wieczory literackie, ale nie zostało to zrealizowane. Również zapowiedź ukazywania się pisma 10 razy do roku pozostała w sferze planów, gdyż jak już wspomnieliśmy ukazał się tylko jeden numer „Tańczącego Ognia”.

Pismo było więc typową efemerydą, lecz ze względu na walory artystyczne bardzo cenną. Obecnie jest wielką rzadkością. Nie posiada go np. Biblioteka Narodowa.

Poślednia natomiast jeden egzemplarz „Tańczącego Ognia”. Biblioteka Uniwersytecka w Łodzi. Piszę świadomie poświadczając, gdyż został on zagubiony, a był to jedyny publicznie dostępny numer tego pisma w Łodzi. Nie sądzę również, aby w prywatnych zbiorach zachowało się wiele egzempla-

rzy. „Tańczący Ogień” to dziś już biały krętek.

Swoją drogą ciekawe, kto „zafundował” sobie taki rarytas do prywatnej kolekcji? I kto ponosił za to odpowiedzialność? Nie jest to bowiem, o ile wiem, pierwszy wypadek zagubienia rzadkiej pozycji w Bibliotece Uniwersyteckiej.

KSIAŻKI NADESŁANE

Henryk Hartenberg — „PRAWO PŁOMIENIA”, WL, cena zł 10.

Leonardo Sciascia — „DZIEŃ PUSZCZYKA”, PIW, cena zł 10.

W ŚLEPEJ ULICY

Amerykańska wojna w Wietnamie znajduje się w stanie kolejnego kryzysu. Wszelkie usiłowania Amerykanów, aby dokonać przełomu w działaniach wojennych skończyły się fiaskiem. Bombardowania na Północy i intensywne operacje wojenne na Południu, ani o krok nie zbliżyły USA do zwycięstwa.

Analizując wyniki działań wojennych w Wietnamie za okres pierwszego półrocza bieżącego roku, wojskowy komentator paryskiego dziennika „Monde Diplomatique”, Jacques Decrouna, wskazuje na pozbawioną perspektyw strategię Pentagonu.

Amerykanom ani rusz nie udało się przystąpić do klasycznej metody wprowadzenia „porządku” w południowym Wietnamie, więc: zniszczenia głównych sił przeciwnika, „pacyfikacja”, wywołania małych grup partyzantów, okazania pomocy ekonomicznej i ustano- wienia nowego, względnie reprezentatywnego ustroju. Pragnąć wzięć się za wszystko razem, ale na żadnym polu nie odnoszą sukcesów. Siły Frontu Wyzwolenia Narodowego nieustannie rosną, „pacyfikacja” nie udało się, rozszerza się wojna partyzancka. Inflacja niszczy kraj, a południowowietnamscy generałowie skaczą sobie do oczu, sposobiac się do prezydenckich wyborów.

1.

W roku 1965 Waszyngton sądził, iż wysłanie do Wietnamu kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy wystarczy do odniesienia zwycięstwa, a natychmiast bombowce na DRW podniosą Sajgon na duchu. Były to absurdalne przypuszczenia, ponieważ ignorowały problem zjednoczenia kraju. Z wojskowego punktu widzenia, amerykańskie plany już były przestarzałe, nim jeszcze zostały wprowadzone w czyn. Amerykanie wychodzili z

błędnego założenia, iż Front Wyzwolenia Narodowego jest ciałem obcym, rakowatą naroślą, która należy wyciąć.

Aby zniszczyć bojowe siły Frontu Wyzwolenia Narodowego, Amerykanie musieliby wykazać inicjatywę. Ale inicjatywa nie spoczywa w ich rękach. W styczniu bieżącego roku, w delcie rzeki Mekong wysadzono z samolotów transportowych wojsko amerykańskie. Postanowiono skrócić w tym rejonie z faktycznym „pokoju” współistnienie sił Frontu Wyzwolenia Narodowego. Z uprzednio przygotowanej bazy wojska amerykańskie wyszły do natarcia, jednakże zdobyty teren należało umocnić. Tak, tylko że dowództwu amerykańskiemu nie starczyło na to żołnierzy.

Uwaga od tych działań odwróciła operacja wojskowa na północno-wschód od Sajgonu, w której wzięło udział 45 tysięcy żołnierzy. Nie dała ona spodziewanych wyników. Amerykańskie natarcie zostało tam zastopowane, gdy dotarła wiadomość o poważnym pogorszeniu się sytuacji wojennej na północy kraju. Przeciwnik rozpoczął w tym rejonie ofensywę przeciwko 75 tysiącom amerykańskiej piechoty morskiej. Miejscowe dowództwo zażądało natychmiastowej pomocy, chociaż wojska amerykańskie znajdowały się w sektorze uważanym za „bezpieczny”. Oddziały Frontu Wyzwolenia Narodowego dwukrotnie załamały miasto Kuangchi. Natychmiast zorganizowano most powietrzny między Sajgonem i północnym rejonem kraju. Po otrzymaniu posiłków piechota morska pokusiła się o zagarnięcie terenów pogranicznych. Wszakże, gdy była tym bez reszty zajęta, oddziały Frontu Wyzwolenia Narodowego przecięły linie komunikacyjne łączące Amerykanów z bazami na wybrzeżu.

2.

Jak z tego widać, sytuacja jest wielce niekorzystna dla Amerykanów w skali całego południowego Wietnamu. Zupewnie analogicznie przedstawia się sytuacja w każdej prowincji, w której działa partyzanci i miejscowe siły wyzwolenie. Amerykanie tylko odpowiadają na ciosy i nie mogą narzucić przeciwnikowi własnej strategii i taktyki.

W końcu czerwca bieżącego roku liczba wojsk amerykańskich w południowym Wietnamie wynosiła 463.200 ludzi. Zgodnie z uprzednio opracowanym planem, liczba ta miała wzrosnąć do 470 tysięcy żołnierzy do końca tego roku. Pogorszenie się sytuacji wojennej przyspieszyło decyzję o wywołaniu dalszych oddziałów amerykańskich do Wietnamu.

Rok temu w Wietnamie było 270 tys. Amerykanów. Straty rosły szybko, uzupełniali je wciąż nowe posiłki. Jed-

nakże nie wszystkie oddziały szły do walki. Armia Stanów Zjednoczonych jest bardzo rozbudowana i znaczny procent żołnierzy jest przywiązany do baz oraz pełni służbę garnizonową. Uzupełnianie tygodniowych strat (200-300 zabitych, 1500-2000 rannych), też pochłania znaczną część przybywających rezerw. Również rozmieszczanie przybywających oddziałów w bazach i na placówkach wiąże się z rozrostem ochrony wojskowej, która nie uczestniczy w bezpośrednich walkach.

Wydawało się, iż wiosną tego roku ustala się dwa rodzaje działań wojennych. W północnych prowincjach kraju (na południe od 17 równoleżnika) zaczął się stabilizować front klasycznego typu, podczas gdy na pozostałym terytorium kraju toczyły się natarcia partyzanckie. Tak mniemano, jednakże nie wzięto do przemyślenia, że rzeczywistej sytuacji. Słowo „front” wiąże się z pojęciem już ustabilizowanej linii walki przeciwników stojących twarzą w twarz. Wszelako wojna partyzancka pozostała nadal wojną partyzancką i nie zmieniła swego charakteru, nawet w warunkach rzekomego „frontu” w strefie zdemilitaryzowanej. W innych rejonach kraju Amerykanie natrafiali nie tylko na partyzantów na pola minowe i siły Frontu Wyzwolenia Narodowego. Zmiana sytuacji wojennej w rejonie Pleiku - Kontum, pojawienie się całych batalionów FWN w delcie rzeki Mekong i w pobliżu Sajgonu świadczy o tym, iż rozwijała się jednocześnie wszystkie możliwe rodzaje działań wojennych. Jeżeli bombardowanie „B-52” bombardują tereny leżące dziesięć kilometrów od Sajgonu, to jest na przedmieściach stolicy, to działają one nie przeciwko pojedynczym partyzantom, lecz przeciwko regularnym oddziałom, które, nawiasem mówiąc, nie ponoszą poważnych strat.

3.

Przeto nie należy się dziwić, iż w takich okolicznościach nie udaje się wszelkie usiłowania „pacyfikacji”. A w prowincjach północnych strefa owej „pacyfikacji” najwyraźniej się kurczy.

Po tym wszystkim co powiedziano wyżej, jest wątpliwe, czy Amerykanom uda się udowodnić, iż klucz do zwycięstwa spoczywa właśnie w ich kieszeni. Co więcej, ostatnie niepowodzenia militarne w Wietnamie nie stwarzały im perspektyw rozszerzenia wojny lądowej poza granice południowego Wietnamu, a co do oddziały pomocy, płynącej z Demokratycznej Republiki Wietnamu. Ostatnio mówi się o projekcie „barier”, która by oddzieliła północ od południa i przebiegała również

przez terytorium Laotańskie. Jedyną możliwością, iżby taka „bariera” była efektywna. Tylko flota dywizji trzeba by wprowadzić do Laosu żęby w tamtejszym górzystym terenie przeszkodzić pomocy Hanoi dla Frontu Wyzwolenia Narodowego. Plan ten wiąże się również z zamiarem amerykańskiej agresji na Wietnam Północny. Wietnamczycy z Północy przyjęli ze spoko-

Wietnamie, coraz mniej raz przeciwnika, tym więcej, iż FWN stosuje nowe formy walki (walka z bliska itp.). W czerwcu bieżącego roku, Ki oświadczył iż liczebność wojsk amerykańskich należy zwiększyć do 600 tysięcy ludzi, aby skończyć z Frontem Wyzwolenia Narodowego. Nie powiedział tylko, na ile czasu przedłuży się jeszcze wojna po tym, jak te wojska

rynych sił militarnych jest zaangażowana w wojnie przeciwko DRW. I oto na tym teatrze działań wojennych Amerykanie drepną w miejscu. W 1967 roku nastąpiła dalsza eskalacja działań wojennych. Rzeki zaminowano. Artyleria okrętowa oraz artyleria lądowa, zainstalowane w strefie zdemilitaryzowanej, systematycznie ostrzeliwują terytorium DRW. Amerykańskie lotnictwo bombarduje wciąż nowe i nowe obiekty. Ale natychmiast nie zmieniają. I Hanoi nie zmienił swego stanowiska. I Front Wyzwolenia Narodowego nadal otrzymuje pomoc w wojennym sprzęcie, w takich samych rozmiarach, jak i przedtem. „Cena” tych wysiłków Północy - mówiąc językiem Johnsona - w wyniku bombardowań na pewno wzrosła, ale też i nie stała się zbyt wygórowana dla Hanoi.

Straty w lotnictwie wywołały w Waszyngtonie zaniepokojenie. Nie ulega wątpliwości, iż rozkaz prowadzenia nieprzerwanego ognia artylerijskiego z lądu i z morza był konsekwencją wielkich strat w stanie osobowym amerykańskiego lotnictwa.

4.

Amerykańska machina wojenna, usiłująca zniszczyć siły Frontu Wyzwolenia Narodowego i DRW, w samej rzeczy pracuje na próżno. Nie ma co do tego dwóch zdań, iż cele FWN pozostały niezmienione: przyjdzie taki dzień, kiedy FWN zostanie uznany za wyrażiciela interesów narodów południowego Wietnamu i Wietnam będzie kontynuował swoją rewolucję, a później zjednoczy się na warunkach wypracowanych przez Hanoi i bojowników Południa.

Amerykanie czekają na białą flagę. Stany Zjednoczone chcą zwycięstwa. Ale wszystko przemawia za tym, że teraz są oni dalej od swych celów, niżli byli kiedykolwiek. Do Wietnamu będą wysyłane dalsze posiłki. Bombardowania wzrosną się.

W styczniu przyszłego roku, po wyborach, stanie problem o „umocnieniu reżimu sąjgońskiego”, o stworzeniu „demokracji antykomunistycznej”. Tych samych formuł użyto już po wyborach we wrześniu 1966 roku, po czym przyjęto konstytucję, która zdelegalizowała siły lewicowe. A później nastąpiły nowe operacje militarne i powrót do rzeczywistości i po dawnemu, mimo, stale wzrastającej liczby wojsk, amerykańskie wysiłki kończą się fiaskiem.

(S)

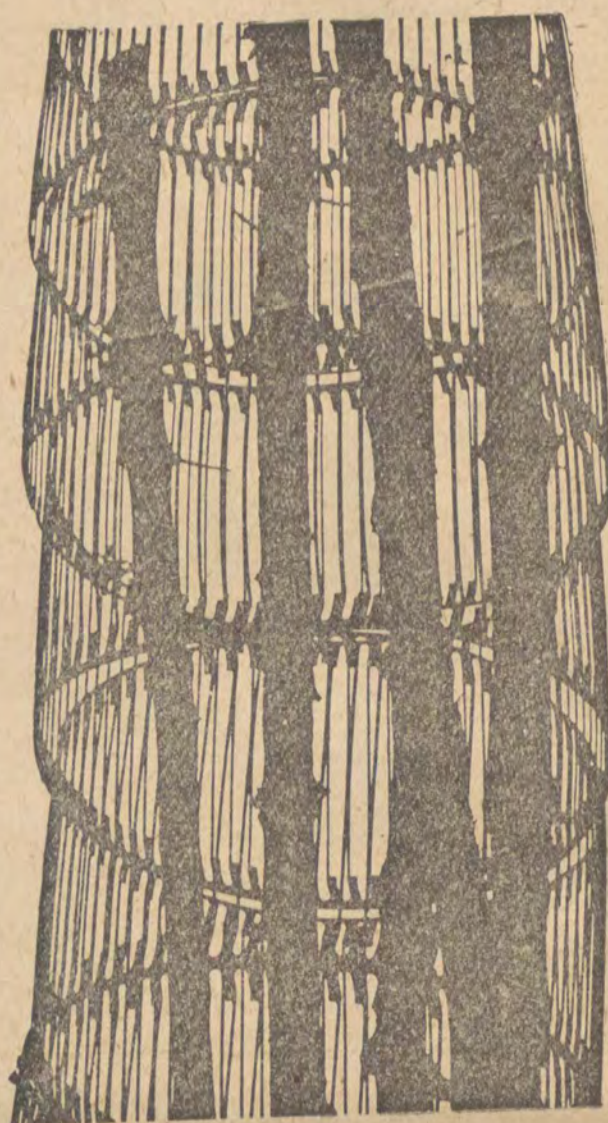


Foto L. Postupy

jem operacje wojenne w strefie zdemilitaryzowanej, gdyż rozumieją, iż w obecnych warunkach braku wojsk. Amerykanie nie mogą przetrwać działań wojennych na północy od rzeki Benchał.

Dowodzą to (jeśli wykluczyć systematyczne niszczenie całego narodu), że nawet najpotężniejsza, najbardziej współczesna technika, którą dysponują Amerykanie w

bedą już na miejscu. Zresztą faktem jest, że już dziś bierze udział w wojnie, pośredni lub bezpośredni, około 600 tysięcy Amerykanów. Należy też uwzględnić 35 tysięcy Amerykanów, 55 tysięcy marynarzy i lotników VII floty, amerykańskie wojska na Filipinach i na wyspie Guam.

Poważna część tych peryfe-



Lewym okiem

PASZKWIŁ NA MRÓWKI

Kiedy radosny wrzask dzieci w domu wczasów rodzinnych przestaje już być zabawnym, a młodzieżowe tranzystory i adaptery przekraczają możliwą do zniesienia ilość magnetycznych, można sobie najwyraźniej uświadomić, że to nie tylko kawałek koca i słoneczne okulary - iść pół kilometra dalej, do lasu, na rozprężoną łączkę, pustą wreszcie, spokojną, cichutką.

O cudna cisza i samotność, plask! Jak tu spokój, plask! Nareszcie można pukać - plask - wodze myślom i - plask - niech szybują gdzie chcą, plask, psinkrew!

Czytelnicy się dziwią? Czytelnicy na pewno już wiedzą: to złośliwe, niezliczone, wszechobecne, psiki i nielepsze od nich, idiotyczne, uparte mrówki - niedocenione, nie wykorzystane, nie „rozpracowane” żodnym doktoratem, motyw literacki, a może i dziejowy.

Gdyby nie scena z Telimem i mrówkami, powłowa naszej czytającej publiczności nie by prze-

cież z narodowej epopei nie pamiętała. Wiesz, wie dział, co robi, kreśląc tę scenę ze smakiem i zjawstwem, przyswojonym sobie na pewno drogą własnych plenerowych doświadczeń. I co - i na tym koniec? Spiew słowika w kilkunastu słownych transkrypcjach zestawia Tuwim, onże przygotowywał monografię o szczurach i wiedzę o szczurach, o pszczołach filozoficznie i mętnie rozprawił wielki poeta, Maeterlinck, a mrówki to pies?

Leżę tak sobie - plask - i przypominam. Siemkiewicz w listach z Afryki nie mógł pominąć milczeniem i nie pominął tamtejszych mrówek, termittów. Niezwykły, polsko-angielski pisarz, Stanisław Themerson, termittu uczynił bohaterami swej przedziwnej, arcydowcipnej i mądrej książki „Wykład profesora Nmaa”. Książkę tę, napisaną po angielsku i wydaną w Londynie, opatrzył entuzjastyczny przedmowa sam Bertrand Russell, po czym autor napisał ją jeszcze raz w polsku i wydał w Warszawie. Jest to mrówcze spojrzenie na człowieka - przeczytajcie, warto się czegoś nowego o sobie dowiedzieć. Najbardziej sensacyjny rozdział w książce Arkadego Fiedlera „Ryby śpiewają w Ukajali” - to rozdział o pochodzie mrówek przez dżunglę. „Kit w mrówisku” Piotra Chojnowskiego to już tylko metafora, ale świadcząca o obecności mrówek w wielowiekowym doświadczeniu ludzi, w ich świadomości tak samo jak porzekadła o pracowitości mrówek. Ich mrówczej zapobiegliwości, jakże pozytywnej w porównaniu z niefrasobliwą fantazją polnych koników.

Mrówki też - nie tylko kapitałistyczne psiki - wpływały na losy świata. Gdy Mahomet w początkach swej kariery uciekać musiał z Mekki

do Medyny, jego wrogowie w Mekce zastawili listę zwolenników nowej nauki, pozostałych w mieście, była to lista - jak byśmy dziś powiedzieli - psokrypcyjna. Złożono ją w świątyni, przed odpowiednim wykorzystaniem. Zanim do tego wykorzystania doszło, listę zjadły mrówki. Był to tak widomy znak niebios, że wrogowie proroka z miejsca stali się jego wyznawcami. Bez mrówek nie byłoby może islamu.

Leżę więc - plask - i myślę. Leżę takie byle co po nodze, łaskocze, śwędzi, spędzane dziesiąt razy nie rezygnuję i leżę jedenasty raz. Inny egzemplarz zauważył się i popycha przed sobą słomkę czy patyk, kilkakrotnie większy i cięższy od siebie, przewraca się, mazioli - a popycha po to tylko, aby po paru metrach mordegi porzucić. Mrówka, której tysiące razy zagroź drogę trawka, będzie tysiąc razy pięta się na nią, a nie ominie. Z tego, cośmy się o tych społecznych stworzonkach nauczyli, wiemy o ich absolutnej dyscyplinie, nie cofającej się przed masową samozatrutą, o krańcowym podziale pracy, o obcinaniu skrzydełek samcom natychmiast po ich jedynym locie weselnym, o zabijaniu osobników słabych, o porzucaniu dzieci z sąsiednich mrówisk, o wychowaniu w pień plemion nie sprzymerzonych. Po tym wszystkim nie chce mi się już brać przykładu z mrówki. Nie myślę, panowie, że ze strachu o skrzydeltka. Przestaje mi się podobać mrówka - symbol oszczędności, mrówka - praca i mrówka - żołnierz. Mrówka nie umie leżeć na łące z trawką w zębach. Ba, sama nie umie i innym przeszkadza. Dajcie mi spokój z mrówkami!

I żeby one wreszcie dały mi spokój!...

CWIEK